

1696



Pisanka

ISANKA

KSIĄŻKA ZBIOROWA
POD REDAKCYĄ
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI ST. SADOWSKIEGO.
DRUK P. LASKAUERA I W. BABICKIEGO
Ś-TO KRZYŻKA 11.
MCM.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Декабря 1899 года.



—
III - 476
—



Z NOCNYCH GWARÓW

FRAGMENT



la czego żóraw tak skrzypi przy studni...?

Już wiatr zmiotł dawno resztki strzechy suchej
Z dachu i przycichł... Przez krokwie, co sterczą,
Jak pochylone krzyże, gwiazd łańcuchy

Z obojętnością patrzą się morderczą.

Leżę i w gwiazdy błędne wlepiam oczy,

Lecz spać nie mogę... Pali mnie pragnienie,

Za szyję ściska, pod piersiami tłoczy!..

Pić!.. Pić!.. Czy będzie trwała nieskończenie

Ta susza? Będęż tak leżał na ziemi

Bez końca, z okiem otwartem, czerwonym,

Łaknąć wilgoci wargi spieczonemi? —

Tak bym chciał zasnąć... lecz sen może zgonem

Stać się, a czuwać, czuwać coraz trudniej...

Dla czego żóraw tak skrzypi przy studni?

Wszak zawałona i nikt tam nie chodzi...

Ha, wody, wody! Tak długo czekałem

Deszczów, nawałnic, i burz, i powodzi!..

Wierzyłem:—chmury nadciągną wnet cwałem,

Ulewą wzdęte, gromami tętniące,

Jak rozhukane dzikich koni stado,

Co się rozbiegnie po szerokiej łące,

I runą na mnie olbrzymią kaskadą. —



Wierzyłem: — Rzeki wystąpią z łożyska,
Z pianą i szumem przez brzeg się przewala,
A jak archanioł, który mieczem błyska,
Ja będę płynął z tą zwyciężką falą
Po tej wód toni wezbranej i wielkiej. —
Potem wierzyłem, że chociaż kropelki
Rosy niebieskiej wieczorem i zrana
Spadać mi będą, bo taka ochłoda
Najlichszej trawce daną jest od Pana...
Potem—nic! w głowie coś szumi, jak woda,
I już jej żadne widziadło nie ludni.

Dla czego żóraw tak skrzypi przy studni?

Nikt tam nie chodzi, studnia opuszczona
Stoi od wieków, bo któżby dbał o nią,
Po wodę sięgał aż do piasku łona,

Kiedy ją można było pełną dłonią
Czerpać z błyszczących na słońcu strumieni,
Lub z dumnej rzeki, co niby pas lity
Po atlasowej łąk biegła zieleni,
Zanim wyssały zazdrosne błękity
Ostatnią kroplę żarem i spiekotą. —
Studnia już dawno zasypana, na dnie
Pewnie pleśń śliska gnieździ się i błoto —
I może gady czają się tam zdradnie.

Więc czemu żóraw tak skrzypi i targa
Żalonym jękiem beznadziejną duszę
W tę noc bezsenną? Wyrzut to czy skarga,
Tak przejmująca razem i lekliwa...?
Sama brzmi w ciszy, więc słuchać jej muszę.
Nie! to nie skarga! Żóraw mnie przyzywa:
«Przyjdź, przyjdź do studni! Pali cię pragnienie,
«Za szyję ściska, pod piersiami tłoczy...
«Poco w te gwiazdy błędne wlepić oczy,
«Jak nić pajęczą błędne snuć marzenie!
«Przyjdź, przyjdź do studni! Odwal zrab zbutwiały,



«I rozkop ziemię! Pod pleśnią i błotem
«Jest w studni woda, czysta, jak kryształy,
«Jest w studni woda,—tyś zapomniał o tem!» —
Krew uderzyła mi w skronie, jak młotem.
Woda! jest woda w naszej studni starej!
Jest woda w studni!.. W głowie zahuczało,
Ogniste w oczach zatańczyły mury...
Hej! łopat! wiader! Zrywam wioskę całą...
Moi, do studni! kopać! kopać! kopać!...

Ignacy Baliński.





ZEGAR.



uż po raz setny może młody student uniósł na łożku swą twarz wybladłą, ażeby wyrzeć przez okno i powziąć wyobrażenie o porze dnia z panującego na ulicy ruchu.

Złożony ciężką niemocą, suchotami, trzeci miesiąc nie opuszczał skromnej izdebki, mając podczas choroby jedynego opiekuna w towarzyszu swym, koledze uniwersyteckim, Zdzisławie.

Najstraszniejsze były dlań chwile, gdy Zdzisław, znajdując się na

wykładach w uniwersytecie, lub zajęty lekcjami, któremi teraz zarabiał na utrzymanie ich obu, nie był obecny w domu. Wówczas, leżąc na łożku, samotny, wsłuchiwał się tylko w dolatujący szum miejskiego ruchu, w nim starając się chwycić odgłosy życia, od którego go odcięła bezlitosna niemoc.

Często też z żalem zwracał oczy na stary kurantowy zegar, pamiątkę lepszych czasów, lecz daremnie: skazówki były nieruchome, już dawno przestały pokazywać ludziom radosne lub smutne chwile.

Na kupno nowego zegara nie można było sobie pozwolić, tyle pieniędzy po-



chłaniała choroba, a on zarabiać jeszcze nie może... Poczciwy Zdzisław pracuje teraz za dwóch, przyjął jego lekcye, byle tylko wystarczyć na niezbędne potrzeby.

Mijały więc dni za dniami, monotonne, jednostajne, podczas których nie wiedział nawet, jak szybko upływały chwile jego życia.

Dobrze, jeżeli dzień był jasny, w promieniach słońca doskonały miał czasomierz i wiedział, kiedy ma oczekiwać powrotu przyjaciela. Gdy było pochmurno, wówczas jedno mu tylko pozostawało: unieść się na poduszkach i przez okno śledzić przechodniów, by po ruchu na ulicy rozpoznać godziny. Doszedł w tem do wielkiej wprawy, lecz męczyło go to bardzo, a nieraz, gdy był słabszy, nie mógł podnieść się na łóżku.

I teraz rzucił się bezwładnie na poduszki, zmęczony bezowocnymi próbami, z rezygnacją czekając na przyjście Zdzisława.

Słońce już zaszło zupełnie i ciemności panowały w pokoju, gdy na wschodach dał się słyszeć tak dobrze mu znany odgłos prędkich kroków, a po chwili wszedł Zdzisław, szybko zapalił światło i przyskakując z radością do chorego, postawił przed nim mały, stojący zegar.

— Zapłacono mi dzisiaj za korepetycye— zaczął wesoło.— Bez zegara trudno się obejść, więc kupiłem; tylko dwa ruble kosztuje.

Chory z wdzięcznością uściśnął dłoń mówiącego i wsłuchując się w dawno niesłyszane „tik-tak,“ zaczął obserwować z zajęciem posuwanie się skazówek.

Godziny mijały za godzinami, Zdzisław już dawno spoczywał w śnie głębokim, a on ciągle wpatrywał się w skazówki, z jakimś konwulsyjnym napięciem śledził ich ruch jednostajny, wsłuchiwał się w miarowe „tik-tak“, aż zegar cały zaczął w jego oczach przybierać jakieś dziwne kształty, rósł, olbrzymiał, stawał się tytanem, co wszystko ma przetrwać, wszystko zniszczyć, unicestwić... I widział, jak chwile szczęścia ludzkiego mijały bezpowrotnie, jak kryształowe zamki marzeń waliły się w przepaść, jak tysiące istot zapadało w straszną otchłań śmierci, tylko owe wskazówki posuwały się niewzruszone, swym miarowym ruchem znacząc kres wszystkiemu, co doczesne....

Stanąła wreszcie przed oczyma jego owa chwila okropna, gdy ostatek płuc wypłuje z swych piersi, w których życie gwałtem pocznie gasnąć, zamierać, gdy członki jego sztywne, zdrewniałe, obleje smutne światło gromnic — wszystko tak strasznie zmienione, tak inne... Tylko skazówki na zegarze posuwać się będą tak samo,— tak samo, jak i teraz, ciągle naprzód, jednostajnie... To samo miarowe „tik-tak“ rozlegać się będzie, gdy ostatni jęk skonania wyrwie się z jego gardła...

Uniósł się gwałtownie na łóżku i silnym rzutem rozbił zegar o podłogę...

Zerwał się przestraszony Zdzisław, przybiegł do chorego, który kryjąc wzruszenie, tłumaczył się urywanym głosem:

— Chciałem sięgnąć po karafkę z wodą i niechcący zrzuciłem zegar... Taka szkoda! wydałeś tyle pieniędzy...

— Nie martw się — przerwał mu czule przyjaciel, — jutro zaniosę go do naprawy. Tymczasem śpij spokojnie, bo znowu będzie ci gorzej.

.

Nazajutrz zegar został naprawiony, w tydzień zaś później skazówki jego wyznaczyły godzinę, w której ostatni jęk uleciał z chorej piersi.

Sylweryusz Chmurkowski.





PAMIĄTKA

OBRAZEK W JEDNEJ ODSŁONIE

O S O B Y: KAMILLA GRUSZYŃSKA, LAT 60. JÓZEF ZNICZ, LAT 30.
HELENA, PANNA DO TOWARZYSTWA, LAT 19.
JÓZIA—POKOJÓWKA. JAN—LOKAJ.



Rzecz dzieje się u Kamilli Gruszyńskiej.

SCENA PRZEDSTAWIA BOGATO UMEBLOWANY POKÓJ. PO PRAWEJ STRONIE FOTEL STAROŚWIECKI, PRZY NIM STOLECZEK. W GŁĘBI SCENY I PO LEWEJ STRONIE DRZWI. PRZY PODNIESIENIU ZASŁONY NA SCENIE GRUSZYŃSKA SIEDZI NA FOTELU, PRZY NIEJ HELENA CZYTA GŁOŚNO KSIĄŻKĘ.

SCENA I.

GRUSZYŃSKA, HELENA, WCHODZI JAN.

JAN (*meldując*): Pan Józef Znicz.

GRUSZYŃSKA. A, to bardzo dobrze, prosz zaraz. (*Jan odchodzi*)

Musimy przerwać to czytanie, moje dziecko!.. Idź do mego pokoju i przygotuj wieczorne dzienniki. Wkrótce cię zawołam.

HELENA. Dobrze, proszę pani. (*Wychodzi, wchodzi Znicz*).

SCENA II.

GRUSZYŃSKA, ZNICZ.

GRUSZYŃSKA. Witam pana. (*Znicz całuje ją w rękę*). Widzę, że pan bardzo punktualny, prosiłam go o przybycie między 6 a 7, a pan już tutaj (*spogląda na zegar*): pięć minut po szóstej.



ZNICZ. Wracam wprost z obiadu, a że zamierzam iść na dzisiejszą premierę, chciałem przyjść możliwie wcześniej. Szanowna pani wzywała mnie zapewne w jakim interesie?

GRUSZYŃSKA. Tak, chciałam z panem pomówić, a że nie spodziewałam się pańskiej wizyty prędko, musiałam wezwać pana. Proszę, spocznij pan!

ZNICZ (*siada*): Jestem na usługi pani.

GRUSZYŃSKA. Postanowiłam zupełnie wycofać się z życia. Jestem wprawdzie już w wieku, gdy cisza domowa starczy za wszystko, a przytem ostatnie przejście i ciosy zniewalają mnie do tego. Nie będę przyjmowała nikogo, prócz najbliższych przyjaciół, do których i pana zaliczam.

ZNICZ. Zaszczęt ten niezastuzenie mnie spotkał.

GRUSZYŃSKI. Nie, pan jako najbliższy przyjaciel biednego Henryka, nie może być uważany za zwykłego znajomego w moim domu. Dziś mija dwa tygodnie od dnia jego pogrzebu. (*Po chwili*) Boże, czy ja myślałam kiedy, że syna przeżyję!

ZNICZ. Nieszczęście... Choroba sercowa rozwijała się tak szybko, a na to niema ratunku.

GRUSZYŃSKA. Umarł też prawie nagle (*chwila miłości*). Nie chcę dłużej w Warszawie pozostać. Czekałam tylko na załatwienie pewnych interesów i za parę dni wyjeżdżam do Włoch na kilka miesięcy.

ZNICZ. Zapewne siostra pani będzie jej towarzyszyła.

GRUSZYŃSKA. Nie, siostra nie chce męża opuścić. Przyjedzie do mnie zapewne za miesiąc, ale tylko na krótki czas. Ze mną jedzie moja lektorka Helena.

ZNICZ (*zdziwiony*): Panna Helena? To ona jeszcze jest u pani?

GRUSZYŃSKA. Jest, owszem (*spogląda na Znicza*). Pan wydaje się być tem zdziwiony.

ZNICZ. Nie, to jest... Mówiono mi, że panna Helena zamierza opuścić miejsce u pani.

GRUSZYŃSKA. Nic o tem nie wiem, przynajmniej Helena nic mi o tem nie wspominała.

ZNICZ. Zapewne ktoś mnie źle poinformował.

GRUSZYŃSKA. I ja tak sądzę... Dziewczyna dobra, cicha, jestem z niej bardzo zadowolona, a przytem ona się do mnie przywiązała, wątpię więc, czyby miała zamiar porzucenia mnie. Wie pan, ona bardzo odczuła moją rozpacz po stracie Henryka i jej tylko zawdzięczam, że jestem spokojniejszą.

ZNICZ (*ironicznie*). Nic dziwnego, ona, o ile mi się zdaje, bardzo lubiła Henryka.

GRUSZYŃSKA. A tak, bo też on miał szczególny dar zjednywania sobie serc ludzkich. Ale panu śpieszy się do teatru, muszę więc przystąpić do sprawy, dla której prosiłam pana o przybycie.

ZNICZ. O, do teatru mogę się spóźnić.

GRUSZYŃSKA. Nie chcę pana na to narażać, przystępuję więc do rzeczy. Pan, jako najbliższy przyjaciel Henryka, znał zapewne blisko jego życie pozadomowe. Wczoraj otrzymałam list od jednego ze znajomych Henryka, któremu syn mój był winien pewną sumę. Przyszło mi na myśl, czy Henryk nie zostawił długów?

ZNICZ. Sądzę, że nie. Henryk wydawał wprawdzie dużo, ale jego osobiste dochody wystarczały mu.

GRUSZYŃSKA. I ja tak sądziłam, dopiero list wczorajszy naprowadził mnie na tę myśl. Dla tego też chciałam prosić pana o uiszczenie tego długu i innych, gdyby się pan o nich dowiedział. Henryk umarł nagle, mógł więc pozostawić pewne zobowiązania, które ja, jako matka, muszę wypełnić.

ZNICZ. Z całą gotowością pomogę pani w tym względzie, choć sądzę, że dług, o którym pani wspomina, jest jedynym.

GRUSZYŃSKA (*bierze ze stolika kopertę*). Tu są przygotowane pieniądze i adres wierzyciela Henryka. A w razie, gdyby się pan dowiedział o innych zobowiązaniach, proszę się udać do mego plenipotenty, który wręczy panu potrzebną sumę.

ZNICZ. Zlecenie pani wypełnię z całą ścisłością i o rezultacie natychmiast doniosę.

GRUSZYŃSKA. Serdecznie panu dziękuję. Wypije pan ze mną filiżankę herbaty?

ZNICZ. Dziękuję uprzejmie, ale muszę już uciekać. Życzę pani szczęśliwej podróży i spokoju.

GRUSZYŃSKA. Dziękuję, mam nadzieję, że pan o mnie nie zapomni, gdy powrócę.

ZNICZ. Natychmiast po powrocie złożę jej moje uszanowanie (*całuje ją w rękę i wychodzi*).



SCENA III.

GRUSZYŃSKA, JÓZIA.

(*Gruszyńska dzwoni, wchodzi Józia*).

GRUSZYŃSKA. Podaj mi herbatę, a przedtem poproś do mnie pannę Helenę.

JÓZIA. W tej chwili proszę pani (*wychodzi*).

(*po chwili wchodzi Helena*).

GRUSZYŃSKA. Siądź, moje dziecko.

HELENA. Czy mam zacząć czytać?

GRUSZYŃSKA. Jeszcze nie, przedtem wypijemy herbatę.

HELENA (*wstaje*). Pójdę, każę podać.

GRUSZYŃSKA. Nie trzeba. Józia zaraz przyniesie (*po chwili*). Muszę z tobą porozmawiać (*spogląda na nią*). Boże, jakaś ty mizerna!

HELENA. Mizerna? Jestem trochę słaba. Głowa mnie boli, a przytem od dwóch tygodni jestem strasznie zdenerwowana.

GRUSZYŃSKA. Od dwóch tygodni? A więc od śmierci Henryka. Biedne dziecko! (*Helena zakrywa twarz chusteczką*). Co to, ty płaczesz? Co ci jest?

HELENA. Nic, proszę pani, to nie wielkiego, tylko... (*Wybuch płaczem*).

GRUSZYŃSKA. Uspokój się, dziecko! Jakże można tak się przejmować?... Patrz, ja jestem spokojna, a przecież jestem matką. E, widzę, że ty rzeczywiście jesteś słabą. Nigdy nie byłaś tak skłonna do płaczu, a przecież jesteś już u mnie 5 lat, znam cię więc dość dobrze.

HELENA. Niech mi pani wybaczy! (*całuje Gr. w rękę*) (*Józia wnosi herbatę, spogląda z uśmiechem na Helenę i wzrusza ramionami*).

GRUSZYŃSKA. No, wypij herbatę, to się może nieco uspokoisz. (*Po chwili*). Do drogi już wszystko gotowe. Wyjeżdżamy za 3 dni, należy ci więc wszystko sobie przygotować jutro, bo wrócimy dopiero za parę miesięcy.

HELENA. (*wstaje*). Ja mam do pani jedną prośbę.

GRUSZYŃSKA. Cóż takiego?

HELENA (*całuje Gr. w rękę*). Ja... ja nie mogę jechać, proszę pani!

GRUSZYŃSKA. Co? A to dlaczego?

HELENA. Niech mi pani wybaczy, ja błagam panią, ale zagranicę nie mogę teraz jechać.

GRUSZYŃSKA. Nie nie rozumiem. Cóż to znaczy? Wszak kilka dni temu z taką radością godziłaś się na ten wyjazd.

HELENA. Ja muszę prosić o zwolnienie mnie od obowiązków. Niech pani wysłucha mej prośby.

GRUSZYŃSKA. No, więc Znicz prawdę mówił?

HELENA (*ze strachem*). Co pan Znicz mówił?

GRUSZYŃSKA. Że masz zamiar porzucić miejsce u mnie. Zkąd on jednak o tem wiedział? Czyś ty mu o tem wspominała?

HELENA. Nie rozmawiałam z panem Zniczem od czasu śmierci pana Henryka (*placze*).

GRUSZYŃSKA. Co to wszystko znaczy? Czyś dostała jakie lepsze miejsce?

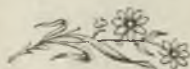
HELENA. Nie, lepszego miejsca, jak u pani, nie znalazłabym chyba.

GRUSZYŃSKA. Dla czegoż więc chcesz mnie opuścić. Może ci kto u mnie jaką krzywdę wyrządził? Może Józia?

HELENA. Nie, błagam panią, niech pani nie nalega na mnie i zwolni mię. Ja jestem taka nieszczęśliwa. Pani była dla mnie prawdziwą matką, bo swojej nie pamiętam, i tego pani nigdy nie zapomnę.

GRUSZYŃSKA. Cóż ci się jednak stało? Dawniej byłaś zupełnie inną? Czyż-by?... (*po chwili*). Nie to być nie może. Słuchaj, powiedz mi otwarcie, dla czego rzucasz miejsce u mnie, ja żądam tego.

HELENA. Nie mogę, nie mogę. Muszę ztąd uciekać... (*wybucho płaczem, wybiega na lewo*).



SCENA IV.

GRUSZYŃSKA, POTEM JÓZIA.

GRUSZYŃSKA (*sama*). Co jej się stało? ja to muszę wyświecić. Nigdy nie była taką, jak dzisiaj, a to nagle porzucenie miejsca u mnie... (*dzwoni, wchodzi Józia*). Słuchaj, czyś ty nie wyrządziła jakiej przykrości pannie Helenie?

JÓZIA. Ja? Pannie Helenie? Nie, proszę pani, cóż mnie panna Helena może obchodzić?

GRUSZYŃSKA. Wiem, żeś krzywo na nią nieraz patrzyła.

JÓZIA. Nie, proszę pani! Nigdy jej nic złego nie powiedziała.

GRUSZYŃSKA. Bo też nie było za co. To takie dobre dziecko. (*Józia uśmiecha się złośliwie*). Zawołaj do mnie Jana.

JÓZIA. Dobrze, proszę pani (*na stronie*). Dobre dziecko!, Ładne dziecko!... Boże! (*wychodzi*) (*Po chwili wchodzi Jan*).



SCENA V.

GRUSZYŃSKA, JAN.

GRUSZYŃSKA. Słuchaj? Janie! Słuchysz u mnie już 16 lat, musisz mi więc dopomódz w pewnej rzeczy. Panna Helena od śmierci Henryka zmieniła się nie do poznania, a dziś, na trzy dni przed wyjazdem, powiedziała mi, że pragnie opuścić miejsce u mnie. Nie wiesz ty, co to znaczy?

JAN. Zkąd mogę o tem wiedzieć, proszę pani! Panna Helena zawsze lubiła pana Henryka, to i płacze po jego śmierci. E, bo któż by nie płakał?... Taki dobry pan, młody, nie miał jeszcze 28 lat, zawsze był taki wesoly, aż tu nagle to serce... E... (*obciera oczy*).

GRUSZYŃSKA. (*smutno*). Nie poruszaj tej sprawy (*chwila milczenia*).

JAN. Niech mi pani wybaczy, ale to tak niedawno, jak pan Henryk tu siadywał jeszcze przy pani, żartował z panną Heleną. Myśmy go wszyscy kochali, a panna Helena to chyba najwięcej.

GRUSZYŃSKA. Tak sądzisz?

JAN. A tak, proszę pani! Bywało pani pójdzie spać, a oni tam w pokoiku panny jeszcze rozmawiali bardzo długo. A i pan Henryk bardzo pannę kochał. Na imieniny to jej dał ten medalionik ze swoją fotografią.

GRUSZYŃSKA. Nie o tem nie wiedziałam... Mów dalej!

JAN. To panna Helena nic pani nie powiedziała?... E... ale może ja to wszystko niepotrzebnie opowiadam?

GRUSZYŃSKA. Przeciwnie, mów wszystko, co wiesz!

JAN. Kiedy, ja nic więcej nie wiem. A że tam Józia plotki roznosiła, to już taka babska natura.

GRUSZYŃSKA. Jakie plotki?

JAN. Kiedy ja nie wiem, jakby to powiedzieć...

1818



Rys. Dąbrowski.

GRUSZYŃSKA. Mów śmiało, wszystko mi powiedz!

JAN. Niby to, że niby... że to nie była taka zwyczajna miłość...

GRUSZYŃSKA. Co to znaczy? Czyżby... (*wstaje*).

JAN. E, bo to może tylko plotki...

GRUSZYŃSKA. Słuchaj, ty coś taisz przedemną, mów wyraźnie!

JAN. To może Józia pani powie, bo ja nie wiem.

GRUSZYŃSKA. To kłamstwo. Nie! to nieprawda. Zkądże myśl podobna?... (*po chwili*) Zawołaj tu zaraz pannę Helenę i nie wracaj (*Jan wychodzi*).



SCENA VI.

GRUSZYŃSKA, HELENA.

GRUSZYŃSKA. Proszę bliżej. (*Patrzy na nią badawczo, długa chwila milczenia, Helena patrzy w ziemię*). Słyszałam tutaj dziwne rzeczy. Chciałam się przekonać od ciebie, czy to prawda. Cóż, nic nie mówisz?... Służba opowiada mi historye, które mi wyjaśniają, dlaczego rzucasz miejsce u mnie. (*Milczenie*). No, powiedz że co! Zacięłaś się i nie odpowiadasz. Byłaż by to prawda?! Chodź tutaj do mnie! (*Helena podchodzi*). Syn mój dał ci podobno na imieniny jakiś medalion. Pokaż mi go!

HELENA. Boże! Co ja zrobię!... (*cofa się*).

GRUSZYŃSKA. Gdzież ten medalion?...

HELENA. Ja... ja nie wiem, proszę pani.

GRUSZYŃSKA? A ten łańcuszek na szyi, pokaż mi go!

HELENA (*drżąc składa ręce błagalnie*). Pani, niech mnie pani nie bada!...

GRUSZYŃSKA (*z mocą*). Medalion pokaż!

HELENA. A!... niech i tak będzie, prędzej się wszystko skończy (*zdejmuje medalion i podaje Gruszyńskiej*).

GRUSZYŃSKA. Fotografia Henryka, a tu jakiś napis. Co to? (*zbliża się do lampy*). „Myśl o mnie czasem, jedyna! Henryk” (*spogląda na Helenę*). Więc to tak? Ależ tak, zmieszanie twoje wszystko mi tłumaczy i zdenerwowanie — i ten nagły zamiar rzucenia miejsca. Jakto?! i tyś śmiała? Ty, dla której tyle dobrego zrobiłam.

HELENA (*pada na kolana*). Litości! niech mię pani nie potępia! Ja odejdę i nigdy już nie pokażę się pani!

GRUSZYŃSKA. Byłaś kochanką jego i to pod moim dachem! Dom mój był dla was miejscem schadzek! Boże!

HELENA. Litości! pani! czy ja wiedziałam, co robię! Ja go tak kochałam!...

GRUSZYŃSKA. Precz!... Wynoś się natychmiast z mego domu! Nie wiedziałam, kogo trzymam u siebie. Jan odniesie ci kwartalną pensję zaraz, ale żeby cię jutro już u mnie nie było!

HELENA (*wstaje*). Pójdę, proszę pani! Pensji nie wezmę, błagam tylko, niech mi pani przebaczy i nie potępia dziewczyny za to, że poszła za głosem krwi i serca!

GRUSZYŃSKA. Zejdz mi z oczu natychmiast, bo służbę zawezwę!

HELENA. Ach, Boże!.. Boże!.. (*wychodzi*).



SCENA VII.

GRUSZYŃSKA, POTEM JAN.

GRUSZYŃSKA. (*sama*) Henryku! Dlaczegoś ty mię tak boleśnie zranił! Nie, ja w to jeszcze uwierzyć nie mogę! Boże! za co ty mnie tak karzesz? Do jednej boleści znów świeża przybyła. Ach! (*zakrywa twarz rękoma*). I pewno wszyscy o tem wiedzą! Widzę to z zapytania Znicza... Więc te dni smutku nigdy się dla mnie nie skończą? Ha!... (*Dzwoni, wchodzi Jan*). Słuchaj, Janie! Panna Helena jutro się wyprowadza. Pójdź do jej pokoju i zanieś jej te pieniądze. To kwartalna pensya. (*Jan odchodzi*). Słuchaj, wróć się, (*sięga do portmonetki*). Masz jeszcze. Zanieś jej półroczną pensję i powiedz, żeby się jutro wyprowadziła. Wróć potem sprzątnąć tutaj.

JAN. Dobrze, proszę pani, (*wychodzi*) (*Gruszyńska siedzi chwilę zamysłona, poczem wychodzi na prawo*).



SCENA VIII.

JAN, POTEM JÓZIA.

JAN. A to dumna sztuka! (*wchodzi Józia*).

JÓZIA. Co tu się stało? Pani jakaś taka dziwna?

JAN. A no, ta panna Helena już *aus*.

JÓZIA (*radośnie*). Tak? Ach, jak to dobrze! Tak zawsze do góry nosa zadzierała. Wielka mi pani!... Prostaczka, co się czytać nauczyła! pańska kochanka...

JAN. Ej, zatkaj ty sobie gębę! Pani ją wydziłiła i sprawiedliwie, ale tobie wydziwiał nie wolno, bo się nieszczęście każdemu może trafić.

JÓZIA. A cóż to Jan taki mecenas. Właśnie, że będę wydziwiała, bo mi się tak podoba. Dziewczyna była nie dobrego, to i dobrze jej tak. A co ona się prezentów naodbierała!

JAN. A tobie tego najwięcej zazdrość. Widzisz ją! Tybyś może chciała być na jej miejscu, byleby te prezenty były. Wyście wszystkie na to gorące, byle sukienka, kapelus, to i już.

JÓZIA. O, jaki to Jan głupi!.. A mnie to prezentami nikt nie weźmie! Choćby mi suknię na jedwabiu kto dawał, to ja mu figę pokażę.

JAN. Et, gadanie takie. Albo to panna Helena dla prezentów kochała pana Henryka?... A widzisz to? (*pokazuje jej pieniądze*). Pani jej posłała 150 rubli, to ona nie chce wziąć (*słychać dzwonek*). Idź no, otwórz!

JÓZIA. A niech Jan sam idzie! Ja od drzwi nie jestem, tylko od pokojów.

JAN (*wzrusza ramionami*). Ciebie by tam kto przegadał (*wychodzi*).



SCENA IX.

JÓZIA, POTEM GRUSZYŃSKA.

JÓZIA. A ja jestem bardzo kontenta, że tej panny już nie będzie. Jeszcze czego!... Ja jej miałam usługiwać! Niby to ona co lepszego ode mnie. Hej, hej, he, a co ona teraz robi. Miejsca jej nikt nie da. (*wchodzi Gruszyńska — Józia udaje, że sprząta*).

GRUSZYŃSKA. Kończ to sprzątanie i idź do kuchni. Kolacy mi dziś nie podawajcie. A pannie Helenie zanieście do jej pokoju.

JÓZIA. Dobrze, proszę pani. Panna Helena może czekać. Jej teraz nie jedzenie w głowie.

GRUSZYŃSKA. Tyś widzę czegoś kontenta dzisiaj.

JÓZIA. A bo prawda. Tak się cieszę, że tej panny już nie będzie.

GRUSZYŃSKA. Bądź cicho... (*wchodzi Jan*).

JAN. List do pani.

GRUSZYŃSKA. Dawaj. A! od Znicza (*czyta półgłosem*). „Po drodze do teatru dług spłaciłem. Wyrazy uszanowania i cześć dla matki, która po śmierci syna tak pamięta o wszystkich zobowiązaniach zmarłego.“ (*Smutno*). Tak, dług pieniężny spłaciłam, nie wiedziałam, że Henryk miał jeszcze inne zobowiązania, których nie mogę spłacić.

JAN. Proszę pani, oto pieniądze.

GRUSZYŃSKA. Jakie pieniądze?

JAN. A te 150 rubli dla panny Heleny. Panna powiedziała, że panią bardzo przeprasza, ale pieniędzy nie weźmie ani grosza.

GRUSZYŃSKA. Więc ten dług nie będzie spłacony... Ha, trudno! (*Jan odchodzi*). Słuchaj, Józiu, czyś ty wiedziała o wszystkim?

JÓZIA. Ba, proszę pani, czy ja mogłam nie wiedzieć! Przecież wiedziałam nieraz.

GRUSZYŃSKA. Pamiętaj, żebyś o tem nikomu nie mówiła. Nikomu, rozumiesz? A jak się kto spyta, dla czego panna Helena nie jest u mnie, to powiedz, że ona sama nie chciała zostać.

JÓZIA. Dobrze, proszę pani. E... choć wszyscy i tak się o tem dowiedzą.

GRUSZYŃSKA. A to jakim sposobem?

JÓZIA (*uśmiecha się*). A bo to się ukryje?

GRUSZYŃSKA. Co ma się ukryć? O czem ty mówisz?

JÓZIA. E, kiedy nie śmiem powiedzieć... Dobrze, że ją pani usunęła, to wszystko jakoś się gdzieindziej odbędzie.

GRUSZYŃSKA. Co to ma znaczyć? (*Józia nachyla się do ucha Gruszyńskiej*). Co ty mówisz? Czy to być może? Józiu! może ty się mylisz?

JÓZIA. Nie, proszę pani! ja to dobrze wiedziałam.

GRUSZYŃSKA (*długa chwila milczenia*). Więc do tego doszło? Ha, dobrze, żem ją oddaliła! (*bierze list Znicza, czyta go machinalnie*). Ach, odejdz ztąd, Józiu! (*Józia zdziwiona odchodzi*). Tak, cześć dla matki, która pamięta o wszystkich zobowiązaniach zmarłego... O tem jednak nie mogę

pamiętać, nie mogę... Co tu zrobić? (*Bierze fotografię Henryka*). Mój ty biedaku, leżysz w grobie i ani wiesz, co ja przez ciebie przechodzę! I nic mi po tobie nie pozostało, prócz wspomnień!.. Ach!.. prawda, a ta pamiątka... ta żywa pamiątka!... nie, nie dla mnie!... Boże!... jednak sama nie wiem, co zrobić... Boże! ty mnie natchnij!.. (*klęka, modli się, chwila milczenia. Wchodzi Józia*).



Rys. Badowski.

SCENA X.

GRUSZYŃSKA, JÓZIA, POTEM HELENA.

GRUSZYŃSKA (*wolno i dobitnie*) Józiu, idź do pokoju panny Heleny i poproś ją do mnie, żeby zaraz przyszła.

JÓZIA. Panna Helena?

GRUSZYŃSKA. Tak, idź zaraz!

JÓZIA (*na stronie*). No, nie chciałabym teraz być w jej skórze. Pani tak strasznie patrzy (*wychodzi*).

GRUSZYŃSKA. Tak, inaczej być nie może. (*Milczenie, wchodzi Helena, za nią Józia*). Odejdź, Józiu!

HELENA. Już pani wie o wszystkim. Rzeczy spakowałam. Domyślałam się, że pani wezwała mnie o te pieniądze, ale ja nic nie wezmę i o nic nie proszę, tylko o przebaczenie. A potem nigdy już pani o mnie nie usłyszy.

GRUSZYŃSKA. Zbliź się tutaj, moje dziecko. (*Helena patrzy zdumioną*). Bliżej, o, tak, jeszcze bliżej, siądź tutaj bliżej!

HELENA (*składa ręce*). Pani! Zkąd ta zmiana?

GRUSZYŃSKA. Powiedz mi otwarcie, moje dziecko, o co cię zapytam, nic mi nie zataj, mów, jak kapłanowi na świętej spowiedzi.

HELENA (*przez tzy*). Wszystko powiem, wszystko, ale mi pani przebaczy.

GRUSZYŃSKA. (*głaszcze ją po głowie*). Powiedz mi, moje dziecko, czyś ty bardzo kochała Henryka?

HELENA. Czy kochałam? Ja nie wiem, jak to powiedzieć, ale czuję, że byłabym dla niego wszystko zrobiła, nie byłabym mu zdolna niczego odmówić, byłam szczęśliwą tylko wtedy, gdy on był przy mnie, a gdy go nie było, tylko o nim myślałam! A i pan Henryk był taki dobry dla mnie, tak z serca zawsze do mnie przemawiał (*spuszcza oczy*). Potem... ja sama nie wiem, jak się to stało... Pewnego dnia, gdy pani pojechała na spacer, pan Henryk przyszedł do mnie... ja byłam, jak odurzona... zapomniałam się... Chciałam potem uciekać od pani, wyjechać gdzie daleko, ale pan Henryk uspokoił mnie, mówił, że się ze mną ożeni, a ja nie miałam siły odsunąć się od niego. Tyle razy chciałam pani o tem powiedzieć, ale mi zawsze w chwili stanowczej głos w gardle zamierał!... Boże mój!... A gdy nastąpił ten straszny dzień, kiedy pan Henryk schwycił się za serce i upadł, a potem w kilka godzin umarł, wtedy myślałam, że i mnie serce pęknie! Nawet płakać nie mogłam, byłam, jak martwa, nie wiedziałam, czy żyję i gdzie jestem. Mój Boże, a pani mi, jeszcze odebrała ten medalionik od niego—z jego fotografią.

GRUSZYŃSKA. Biedne dziecko! (*Oddaje medalion*). Weź go, on do ciebie należy!

HELENA (*klęka*). Pani, teraz to już niema nic takiego, czegobym dla pani nie zrobiła! Pani mi przebacza wszystko? Ja pójdę, nigdy nie stanę na oczach pani, niech mię pani tylko nie potępia. Ja taka biedna jestem i nikogo nie mam na świecie!

GRUSZYŃSKA. Nie gniewam się, moje dziecko, i przebaczam ci. Wstań (*Helena wstaje*). Cóż, teraz pojedziesz ze mną?

HELENA. Boże! Nie mogę! ja nie mogę jechać!

GRUSZYŃSKA. Owszem, możesz, moje dziecko! Ja rozumiem twoje skrupuły. Masz zostać matką?

HELENA. Boże!... (*ukrywa twarz w ręce*).

GRUSZYŃSKA. Matką dziecka mego syna. I chciałaś mnie pozbawić możności opiekowania się dzieckiem mego syna? Ty, niedobra dziewczyno!

HELENA (*kłeka*). Pani!... Pani jest chyba świętą kobietą! Jakto?... więc pani mnie nie odpycha, nie przeklina, nie wyrzuca za próg? Nie, ja chyba oszaleję!

GRUSZYŃSKA. Uspokój się, moje dziecko. Postąpiliście bardzo źle, lecz—stało się. Za cóż bym cię miała przeklinać? Kto wie, gdyby Henryk żył... (*ociera łzy*). Tyś go kochała, (*Helena całuje Gruszyńską w ręce*). Będziemy wspólnie opiekowały się dzieckiem. To będzie nasza jedyna pamiątka po Henryku. Może się to światu dziwnem wyda, lecz cóż mnie świat obchodzi na schyłku życia? Cóż, teraz pojedziesz?

HELENA. Teraz... Teraz pojedę wszędzie, gdzie mi pani rozkaże, lub zostanę, jeżeli sobie pani życzy. Teraz nowe życie we mnie wstępuje, jestem taka szczęśliwa!...

GRUSZYŃSKA. A, jeszcze jedno... (*dzwoni, wchodzi Józia i staje z wyrazem wielkiego zdziwienia*). Zawołaj Jana!

JÓZIA. Dobrze, proszę pani.

HELENA. Może mam odejść?

GRUSZYŃSKA. Przeciwnie, zostań, (*wchodzi Jan i Józia, Gruszyńska patrzy z uśmiechem na ich zdziwione miny*). Cóż, takie miny stroicie? Czy wam źle u mnie?

JÓZIA i JAN (*razem*). Ach! proszę pani...

GRUSZYŃSKA. Jeżeli więc chcecie nadal u mnie pozostać, róbcie ściśle to, co wam każe! (*poważnie*). Żebyście oboje nie śmieli ani jednym słówkiem obrazić panny Heleny. Postępujcie z nią tak, jakby była moją córką! rozumiecie? (*Oboje kiwają głowami potakująco*). Pamiętajcie o tem! A teraz odprowadź mię, moja córko, do mego pokoju. (*wychodzą*).



SCENA XI.

JAN I JÓZIA.

(Oboje przez długą chwilę okazują znaki wielkiego zdziwienia).

JAN. No, no...

JÓZIA. Czy nasza pani czasem nie tego... *(pokazuje na czoło).*

JAN. Głupiaś. Wara tobie do tego, co pani robi, musi tak jest dobrze.

JÓZIA. Ja tam nie będę jej usługiwać.

JAN. A słyszałaś, co pani mówiła? słuchać—albo won ze służby.

JÓZIA. A ja jej tam nie będę usługiwała! *(wchodzi Helena).*

SCENA XII I OSTATNIA.

CIZ I HELENA.

HELENA. Niech Józia pościele mi łóżko. *(Wychodzi na lewo).*JÓZIA. Dobrze, proszę pani. *(Patrzy na Jana, Jan grozi jej uśmiechem palcem).**Jan Czempiński.**Zastona spada.*

Rys. Biske.



MODLITWA.



Boże! dlaczego, gdy wyciągnę ramię
Po tęczę szczęścia, co mi błysnie złota,
To zaraz pęknie i w rękę się złamie,
I ból zostaje i wielka tęsknota:
I krwawa rana, i lez w piersiach morze...
Czemu to, Boże?

Jam Ci dotychczas nie skarżył się wcale,
Mimo lez w łonie—suche miałem oko,
Bo lzy chowałem tak, jak morskie fale
Chowają perły na dnie swem głęboko...
Dziś po raz pierwszy swe serce otworzę:
Zlituj się Boże!

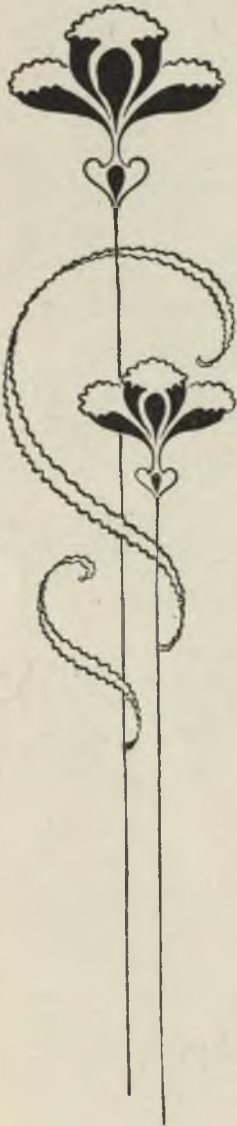


O jedno proszę: Za bezsenne noce,
Za me dziecinne modlitwy gołębie,
Za pieśni mojej niespożyte moce,
Za marzeń moich i uczuć mych głębie,
Za myśli mojej wzorzyste kobierce:
Zmień jedno serce!

Zmień, niech uderzy z mojem w jedno tętno!
Niech myśl jej w jedno z mą myślą się spłynie
O to Cię błagam tą prośbą namiętą
Raz jeden tylko—i o to jedynie
Rzucam błagania w to puste przestworze:
Zlituj się Boże!

Ja Ci dam wszystko! oddam me talenty,
Ja Ci dam wszystkie uczuć moich skarby,
Dam Ci płonący w piersiach ogień święty,
Melodye słowa, słowa mego farby,
Dam myśli moje, sławę moję biedną,
Za serce jedno!

G. Daniłowski.



S T A T E K.

Rozżarła się burza, nad statkiem się chwiały
Chmur cielska olbrzymie i ciemne, jak kir,
Maszt piorun roztrzaskał, a żagle w kawały
Darł wicher, a w dole od piany aż biały,
Jak wściekły, szamotał się wir.

Bałwanów pierś ciężka na pokład się kładła;
W powietrzu, jak sępy, lecące na żer,
Bój wiodły orkany... I śmierci widziadła
Stawały na falach... A zmora napadła
Sternika, tak szepcząc:— puść ster!

Puść! — kuszą go mary. Puść! fala mu płuszcze,
Puść! wścieka się morze... O, głupi! wiatr drwi...
On jedną dłoń wpija w ster, drugą w lin bluszcze
I szepcze zawzięcie: «Nie puszczę! Nie puszczę!
Dopóki choć kroplę mam krwi!»

Więc mary opadły załogę... Szalona!
Zawracaj — wołały, — tam zguba, śmierć, mgły!
Zginiecie! a morze — każdemu, nim skona,
Wygryzie żrenice swą wodą, a słońca
To woda i gorzka, jak lzy!...

Lecz mary załoga odpędza ze wstrętem
I woła:—Hej!—naprzód! choć ciężko pod prąd,
Choć mgła nam żre oczy, wir grozi odmętem
I burza się pastwi nad naszym okrętem,
Tam płynimy, gdzie jasny jest ład!

Więc naprzód!... Okrzykiem napęlnia się sfera —
Tam, kędy się niebo rumieni od zórz...
I dzielna załoga znów siły swe zbiera,
I dalej w mgłach płynie jaskrawa bandera,
Od gromów podarta i burz.

W ciemnościach lśnią węże z błyskawic warkoczy,
Bałwany podnoszą spieniony swój garb,
Szturmują żeglarzy, miotają wir w oczy...
Nie jeden, jak perła, w głębiny się stoczy,
Dno morza wzbogaci o skarb.

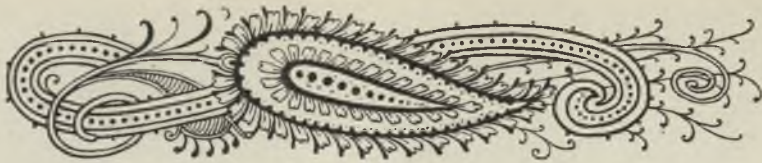
A inni tymczasem wytrwali i karni
Wciąż walczą i płyną na przebój pod prąd,
W goryczy kompani, od wichrów aż czarni,
Kierują się światłem odległej latarni,
Zkąd jasny majaczy się ład.

Na maszcie bez płaszcza, obdarty, wpólnagi
Kapitan swe oczy w mgły wbija, jak sęp,
Piersiami osłania stargany szmat flagi
I szepce załodze:—Odwagi! odwagi!
Choć nitkę ocalmy, choć strzęp!...

I nagle potężny hymn rzuca w przestworza,
Załoga tworuje... I zerwał się śpiew,
Aż zadrżał firmament, zadrżało dno morza,
I statek tam zdąża, gdzie pali się zorza,
Jak luna płomienna, jak krew!

G. Daniłowski.





ZE ZBIORU „MEANDRÓW”.

I.

Wiesz dużo — bardzo dużo — ale,
Z tego się ciesząc chwałą,
Wiecznie ją masz nie całą.
Lecz, ku twej całkowitej chwale,
Jeśli wiesz, że nic nie wiesz wcale,
Wiesz to, co ci przystało.

II.

W pochodzie, wodzem ponad wodze,
Niechaj mi będzie, wiecznie młoda
Z towarzyszami zgoda.
Bo, niech samopas tylko chodzę,
To gdy się potknę na mej drodze,
Któż wtedy dłoń mi poda?

III.

Gdy mówię, czując szron u czoła:
Że lat mam tyle a tyle —
To osobliwie się myślę.
Owszem... tych lat już nie mam zgoła, —
Bowiem, któż mieć na powrót zdoła
Coś, co już w mgle jest i w pyle?

IV.

Mam tylko przyszłość tajemniczą
Lat, których nie wiem jest ile
Ni nawet wiem: czy te chwile
Stratą mi będą, czy zdobyczą.
I to już inni za mnie zliczą,
Siedząc na mojej mogile.

V.

Jeśli chcesz—w śmierci godzinie,
Zanim nad tobą złożą sąd potomni,
Twe czyny zliczyć, czyn to jak najskromniej:
To, co ci drudzy dali, niech jedynie
W pamięci twojej nie ginie, —
O tem zaś, coś sam komu dał — zapomnij.

Felicyan





ADAM MICKIEWICZ

URYWEK



oskonała równowaga wszystkich władz psychicznych, oto co wyniosło Adama Mickiewicza na najwyższe dziedziny geniuszu: myśl filozoficzna, wiara, wyobraźnia i uczucie zespoliły się w jego duszy w doskonałej harmonii. Żadna z tych władz duchowych nie góruje ponad innymi, nie wyrasta kosztem innych, jak u tych, co najbliżsi mu byli talentem, Słowackiego lub Krasińskiego.

Myśl filozoficzna? czyż mało jej w *DZIADACH*, które szeregiem przykładów stwierdzają wielką myśl, skroś chrześcijańską, odpowiedzialność człowieka za grzechy i jego doskonalenia się wewnętrznego, albo wreszcie w *PANU TADEUSZU*, który śmiało nazwać można filozofią narodu polskiego? Mickiewicz rzucił narodowi tyle myśli, ile żaden z dawniejszych poetów naszych, nie wyłączając stoika Kochanowskiego, ucznia Horacego, ani sceptyka Krasickiego, wielbiciela Voltaira. Tylko że ta myśl u naszego poety niema w sobie nic z mglistej metafizyki niemieckiej, je-no że ta myśl wyrażona jest tak jasno i dostępne, że każdy, gdy nie zrozumieć, to odczuć ją sercem potrafi. Mickiewicz częstokroć z niechęcią mówi o rozumie, o „mędrkach przeklętych“—nielusznie. Rozumowi owe-mu, zimnemu rozumowi XVIII stulecia winien on wiele; rozum bowiem trzeźwy i zdrowy stanowi podwalinę jego organizacyi psychicznej, rozum bowiem dał mu możność wysokiego podniesienia rozwoju indywidualne-go, rozum dał mu jasny, głęboki i trafny pogląd na świat, ludzi i stosunki społeczne. Wiara? Ta od pierwszych kroków niemowlęcych nie opuszcza-ła go ani na chwilę. W imię wiary walczył on z klasykami, w imię wiary podniósł chorągiew buntu przeciw zimnej filozofii racjonalistycznej XIX wieku. Wiara to była, naiwna, szczerza, taka, jaką matka wraz z pacie-rzem wszczepia w serce swego dziecięcia. *DZIADY*, to wielka apologia wierzeń chrześcijańskich w obcowanie świata zaziemskiego z ziemskim, a w zasadzie ich leży idea sprawiedliwości Bożej na ziemi i w niebie. W literaturze wszechświatowej mało jest utworów, prócz Boskiej Komedyi Danta i Raju Utraconego Milтона, w których by tak szczerze i tak arty-stycznie były odczute ideały chrystyanizmu. Była w życiu poety jedna chwila rozpaczy i zwątpienia, co wybuchnęła bluźnierstwem w *IMPRO-WIZACYI*, ale wnet dawny nastrój religijny powrócił, wyhartował się w ogniu próbieczym, aż pozbywszy się wszystkich cząstek ziemskich, materyalnych, białą gołąbką wzleciał w zaziemskie sfery mistycyzmu.

Wyobraźnia? Czyż na niej pocie zbywało? jemu, co z kilku luźnych wzmianek kronikarskich potrafił wymarzyć precudną postać bohaterki dziewicy Grażyny, a z kilku niejasnych podań historyków pruskich wysnuć posagową, tytaniczną postać Wallenroda? co oczyma duszy patrząc na krąg wspomnień lat dziecinnych, niewidziany od lat kilkunastu, potra-fił mocą wyobraźni przywołać do życia cały świat staropolski z jego fizyo-gnomistyką, gestami, sposobem mówienia i psychologią? Nikt tak, jak on, nie potrafił odczuć piękna w naturze i oddać w barwach tak świetnych, a przytem tak prostymi środkami technicznymi. Przypomnijmy sobie

krajobrazy o romantycznym zabarwieniu w Grażynie, z przepychem wschodnim we wzorzyste i jaskrawe tkaniny przybrane widoki morskie i górskie w SONETACH KRYMSKICH, i wreszcie z precudną plastyką odtworzone krajobrazy swojskie, tak powszednie, a tak precudne w PANU TADEUSZU. A rój postaci, wysnutych genialną fantazyą poety, toż cała galeryja typów, z których każdy na sobie nosi wyraźne piętno swej indywidualności, a dzięki znakomitej plastyce na długo uprzytomni się w naszym umyśle!

Wreszcie uczucie! Tutaj ujawniła się najbardziej potęga duchowa Adama Mickiewicza. Na początku swej karyery wypowiedział on zasadę: „mieć serce i patrzaj w serce!“ i tej trzymał się nieodmiennie przez całe życie. Już pierwsze balady nacechowane są głębokiem uczuciem, już to pogodniejszym, już bardziej przygnębionem i melancholijnem, a w ODZIE DO MŁODOŚCI wybucha ono całą pełnią młodzieńczego zapału, ufności i wiary we własne siły. Uczucie zdeptane, miłość wzgardzona zrodziły I część DZIADÓW, ten wspaniały poemat wszystkich rozkoszy i wszystkich bólów miłości. A potem uczucie to, coraz szersze zataczając kręgi, obejmuje wreszcie naród cały w ojcowskim uścisku, szarpie się raz jeszcze w prometejowym wysiłku w imię miłości, aż nakoniec w wierze gorącej w Opatrzność Bożą ukoji się i złoży ręce poecie do modlitwy... Tylko tęsknota, co drży lżą żalu w duszy wieszcza już w SONETACH KRYMSKICH, tęsknota ku lasom i polom litewskim, nie opuści go i zrodzi arcydzieło tęsknoty, PANA TADEUSZA. Uczucie—to najwyższy wynik duchowy Adama Mickiewicza, w imię jego zaczął i na nim skończył swą twórczość poetycką.

Żadnego egoizmu artystycznego, rozputy artystycznej, przenerwienia artystycznego u Adama Mickiewicza nie znajdziemy ani śladu. Zdrowe i jędrne dziecię przyszło na świat pod ubogim dachem komornika mińskiego. Bóg dał mu płomień geniuszu i oto—stoi przed nami geniusz—jedyny w całej literaturze wszechświatowej! Nigdzie rozum i serce, wiara i wyobraźnia, poezya i życie nie zespoliły się, nie zlały się w tak harmonijny współdzwięk.

Henryk Galle.





DO CIEBIE.



Miałem wiosnę, lecz mię wiosny
Nie pieściły czary,
Choć brzmiał ptaków śpiew radosny,
Mrok nadpływał szary:
Ten mrok szary, w którym płyną
Czarodziejską snów krainą
Czarodziejskie mary.

Więc marzyłem w życia wiosnie
O tem pięknem lecie,
W którym bije grom donośnie,
Na skał siada grzbiecie,
W którym rosną ptakom szpony,
Słyszać orlich skrzydeł gony
Po szerokim świecie.

O tem lecie, w którym stają
Róże w barw kolorach —
Stare dziady dziwy bają
Po całych wieczorach,
Tajemniczą wieść po cichu
Szepczą sobie przy kielichu
W modrzewiowych dworach.

O tem lecie, które chrzesty
Daje gromów biciem —
W sztandarowe gra szelesty
Pod niebios okryciem,—
I padają na błękity
Snów rozwianych białe świty—
I stają się życiem.



W dal wionęło lato moje!
Pierś oddycha świata --
Ja z pobladłym czołem stoje,
Czekam czarów lata...
Wschodzi słońce w barw purpurze...
Mówią, że gdzieś kwitną róże,
Że gdzieś pieśń ulata.

Płyną światła blasków rzeką,
Mienia się w szkarłaty —
Biją gromy — hen... daleko —
Rosną... hen, hen — kwiaty!
Dziady szepcą pacierz zcicha,
Świerszcz się ukrył do kielicha —
Stróż sierocej chaty.

Jak widziadło pustyń złudne,
Co się w chmurach mieni —
Przeplęły mary cudne
Kwiecia i zieleni:
Nim ostatni blask ich skona,
Ja wyciągam dziś — ramiona
Do ciebie, Jesieni!

Kazimierz Gliński.





SERENADA.

Chciała słyszeć serenadę.
 Z wielką troską
Spełniam rozkaz, bo nie władam
 Mową włoską;
A żądała nieodbicie,
 Bym w noc szarą
Z włoską pieśnią szedł pod balkon
 I — z gitarą.

Nie przelewki rozkaz pięknej,
 Gniew — nie mara!
Musi dzwonić włoska mowa,
 Brzmieć gitara,
Bo inaczej łaskę stracę
 Na wiek wieków —
Sto mi wbije kolców w serce,
 W pierś sto ćwieków.

Lecz, jeżeli noc powitam
 Pieśnią włoską,
Zobaczę ją na balkonie
 Piękną — boską!
I promienne duszę moją
 Sny owiją,
Gdy w powietrzu głos jej zabrzmiał:
 «Caro mio!»

Jeszcze dźwięczny piersi mojej
 Śpiew nie skona,
A jak bluszcze zwisną ku mnie
 Jej ramiona —

Pocałunków nektar spiję
W tę noc szarą...
Tylko przyjsć mam z mową Danta
I — z gitarą.

O! narzędzie siedmiostrunne,
Służ mi szczerze!
Mowo włoska! daj mi parę
Słów w ofierze —
Dwa — trzy... i dość! — Kapryśnicy
Gniew pokonasz —
Idę... Dobrze! mam gitarę
I dykcjonarz.

Księżyc wschodzi — w piersi bicie
Serca czuję, —
Idę cicho, za mną długi
Cień się snuje.
Tajemnicze szmery płyną
Z drzew szelestem...
Furtka — balkon... «Zjaw się, luba,
Jestem — jestem!» —

Uderzyłem dłonią w struny
Delikatnie —
Pieśń zabrzmiała... Śliczna pani,
Wlecisz w matnię —
Wnet się zjawisz w szacie śnieżnej
Na balkonie!
Więc zacząłem głosem tklwym
Śpiewać do niej:

«Amo! Amo!» Och! czyż mało
Tych słów paru?
Niedość że w nich upojenia,
Niedość czaru? —
«Bella mia!» Słyszy echo —
Głos odbija
I powtarza w głębi gajów:
«Bella mia!»

Niewdzięcznico!... Z ust mych płynie
Już pieśń wtóra —
Czemu oczom się nie zjawiasz
Trubadura? —
Dwa wyrazy!... Ale miłość
Prym w nich trzyma —
Zjaw się, piękna! Słyszysz!... wołam:
«Carissima!»

Zatargałem wszystkie struny —
Brzmień kaskada
Na samotny, cichy, pusty
Balkon spada,—
Wydobyłem sił ostatek..
Ach! czy wiecie? —
W onej dobie grał jej huzar
Na klarncie!

Kazimierz Gliński.





U PODSTAW.

Mamy taną prasę peryodyczną, tanie wydawnictwa dla ludu, powódź istną powieści nowych z ostatniego lat dziesiątka, a rzecz dziwna: brak nam przedsiębiorczości, ażeby dla miliona dziatwy ubogiej ułożyć i wydać z tysiąc groszowych lub dwugroszowych książek, wzorów do pisanania, zabawek pożytecznych i t. p. Czyż między księgarzami warszawskimi nie znalazłby się taki, któryby wziął sobie za zadanie wydawnictwo groszowe dziełek różnej treści dla ubogiej dziatwy? Jeśli nie, to wielka szkoda, bo każda ofiara w tym kierunku poniesiona opłaciłaby się sobie. Niwa leży odłogiem od wieków, czeka posiewu, a ten nie przychodzi. Książka dla dziecka biednego wyrobownika powinna być tańsza od bułki, a jeśli to być nie może, przynajmniej w równej cenie. Warszawa posiada dziesiątki tysięcy ubogiej dziatwy, która od 5 do 10 roku życia prowadzi marny żywot na podwórzach dusznych, ciemnych. Przez dzień cały biegają biedactwa, nie mając czem oka zająć, horyzontu myśli rozszerzyć, podnieść się, uszlachetnić. Ochrony przepemnione, szkoły i szkółki bezpłatne tembardziej, dostaje się do nich tylko procent, tylko wybrani.

Spojrzymy, gdy przypadkiem upadnie na schody lub podwórze wielkemiejskie obrazek jaki lub świstek papieru. Niby wróble zgłodniałe do ziarnka zboża, zlatują się rzesze malców, wydzierają sobie tę zdobycz; oglądają rysunek, głośno rozprawiają, co wyobraża. Obudziło się w tym światku nowe życie.

Cóżby za radość była, gdyby tym biedactwom można było podać dziesiątek książeczek i obrazków istotnie dobrych, pożyte-



cznych, przez pedagogów przejranych, gdyby za taką biesiadę dla tego podwórzowego mrowia małych, z którego mają urosć warstwy podstawowe społeczeństwa, płaciło się grosze... tylko grosze, gdyż w razie przeciwnym światło cywilizacji nie będzie się mogło tutaj przedostać.

A szkoda, bo w ten sposób jedna z najbujniejszych, najżyźniejszych niw leży odłogiem, dliczeje, nie zna słońca poezji i nauki.

Stefan Gębarcki.



Rys. Wacław Pawliszak.



W GÓRACH.



Noc cicha, a niebo tak czyste,
A ziemia śpi mocno, głęboko...
Wstał księżyc i płynie przez szkliste
Przestworze wysoko, wysoko...
I szybko dosięga zenitu,
I wielki, wspaniały, promienny,
Na skały, na cały świat senny,
Rozsypał promienie z błękitu.

Stoczyły się blaski ze szczytów,
Wdół spadły i legły na fale,—
Gwiazd krocie wytrysły z błękitów,
Przejrzały się w wodnym kryształce...

Dokoła gór łańcuch się jeży...
Nad wielką jeziora cysterną,
Lśnić piersią szeroką, pancerną,
Tłum staje poległych rycerzy.

Lwie twarze i groźne postawy;
Nie zejdą z miejsc swoich, lecz stoją:
Za chwilę bój zwioda, bój krwawy,
Więc piersi okryli swe zbroją.
Na dzidach ostrzonych się wsparli—
Pierś nie drgnie, i zbroja nie szcęknie—
I żaden się śmierci nie złęknie:
Tak stoją i patrzą — umarli!

Podniosły się z ziemi opary,
I cały wód obszar się bieli;
I płyną i płyną znów mury —
Mieszkańcy głębokich topieli.
I chód swój kierują grobowy
Powolnym, ścieśnionym szeregiem,
Gdzie hufiec rycerski nad brzegiem
Stał cicho, do boju gotowy!...



I płyną wciąż bliżej i bliżej—
Już brzeg się zaroił tłumami;
Wspinają się wyżej i wyżej...
Bój w dole i bój nad górami!
W powietrzu się zwarte kołyszą...
Lecz ciszy nie przerwał gwar boju,
Jak wprzódy, w śnie błogim, w spokoju
Śpią góry, ujęte tą ciszą...

Mieczysław Gliński.





Kiedy się jest młodym aspirantem do artystycznego zawodu, zawsze czuje się nieprzeparty pociąg do ludzi sławnych, których się identyfikuje z ludźmi wielkimi. W miarę jednak, jak się poznaje różne „wielkości“ i „sławy“ (nie mówiąc już o „gwiazdach“), coraz bardziej dochodzi się do przekonania, że nie wystarcza być człowiekiem sławnym, ażeby być wielkim. Zdarzyło mi się widzieć niejednego wielkiego człowieka, który wcale nie był sławnym, i wielu ludzi sławnych, którzy byli tak małymi ludźmi, tak pełnymi małostek i słabostek, że tylko o tyle stali w jakimś związku z ludźmi wielkimi, o ile byli ich kontrastem i antytezą. Ażeby zasługiwać na tytuł wielkiego człowieka, trzeba być wielkim charakterem, tymczasem wcale nim być nie trzeba, ażeby kosztować wszystkich rozkoszy i przywilejów, jakie daje talent i sława. Najmniej ludzi wielkich, jeżeli chodzi o sławnych, spotyka się między poetami; najwięcej—między uczonymi, zwłaszcza pomiędzy uczonymi, którzy zbyt sławnymi nie są; zdaje się bowiem, że sława posiada właściwości demoralizujące...

Ferdynand Hoesick.





Bronisława Wesołowska Ks
1899.

Rys. Wesołowska.



DURINKOWA JODŁA.



r. 872 Czesi prowadzili bratobójczą wojnę z serbsko-łużyckim księciem Władysławem. Dowódcą czeskich zastępów był książę Neklan, człek nadzwyczajnego męstwa i wielkiej zawziętości. Kiedy po

bohaterskiej walce serbowie ustąpili z placu, pozostawiając poległego swego księcia Władysława, Neklan spał białego konia ostrogą i udał się na opuszczony jego zamek. Tam znalazł pod opieką serba Durinka pięcioletniego syna Władysławowego, Zbysława. Neklan objął w posiadanie zamek, ustanowił rządców dla serbskiej krainy, a wychowanie Zbysława powierzył Durinkowi, ażeby go na wasala wiernego sposobił. Atoli Durinko, aczkolwiek był serbem, pomyślał sobie, że Neklan wolałby widzieć nieżyjącym potomka serbskiego władcy, jeno bał się skalania rycerskich rąk krwią dziecięcia.

Pewnego więc zimnego poranku zawiódł dziecko, powierzone jego opiece, na lód rzeki i tak doń mówi: „Widzisz, ty, książątko, jak tam pod skorupą lodu w żywej fali rybki igrają!”

A kiedy Zbysław ukląkł, ażeby one rybki zobaczyć, podły Durinko ostrym nożem obciął mu głowę, a korpus wepchnął do wody.

Głowę w białe prześcieradło zawinał, poszedł z nią do złotej Pragi i rzecze:



„Cny książę! Wiesz, że jedna iskra, pozostawiona w popiele, może nowy ogień wzniecić! Tę iskrę ja stłumiłem! Syn Włastysława nie ujrzy wieku męskiego i nie będzie śmierci ojca pomstował.“ To rzekłszy, położył przed nogami Neklana jeszcze dymiącą głowę. Zmarszczył się książę Neklan i miasto nagrody rzekł: „Złoczyńco, zdrajco podły! Zabiłeś syna pana swego. Ja, choć byłem jego wrogiem, czyn twój sprawiedliwie ocenić potrafię. Wybieraj z trzech rzeczy: Albo się własnym mieczem przebij, albo skocz z wysokiej skały, albo się własną ręką na drzewie obwieś!“ Durinko wybrał powieszenie... Poszli z nim do głębokiego jaru i patrzyli. On długo chodził, długo chodził, aż wybrał jedną jodłę niewysoką, na której się powiesił. Kiedy zdjęto jego ciało i rzucono psom na pożarcie, jodła uschła, utraciła swoją zielen, ale długo stała. Las w tem miejscu się spalił, jodła sama pozostała przez lata setne i przypominała serbom i czechom okropnego i podłego Durinka!

Władysław Karoli.



Bys. Cegliński.



Z CYKLU N

POD SOMO-SIERRA.

Pod Somo-Sierra stanę ja, wędrowiec,
Kędy dziwacznych gór piętrzą się groty,
Pelen zadumy i pelen tęsknoty,
W dal zapatrzonej w skalisty manowiec,
A myślą będę gonił zmierzchłe czasy,
O których pieśni powtarzają lasy.

Tak, tu powstrzymam rwącego się konia,
Któremu miłsze są stepowe trawy,
Jak myśli mojej droższe równin błonia,
Co przez Mazowsze ciągną i Kujawy...
Z tych równin przyszły tutaj sława, męztwo,
Ażeby Jego dłoni dać zwycięstwo...

Przebaczcie, duchy, usta mi się śmieją,
Kiedy was widzę pędzących tu nawał,
O! wyście byli ślepi z swą nadzieją,
I tylko On wam wyrocznią się zdawał,
I Jemu tylko posłuszni byliście,
Więc Was odrywał, jak od drzewa liście.

Widzę Go we mgle; władca ludów dumny,
Straszne pokazał w dziejach świata boje,
Skinął swą ręką, a wasz zastęp tłumny
Biegł w niebotycznych, nagich skał podwoje,
Zadrżała ziemia, kiedy lekka jazda
Geryłów mężnych wypędzała z gniazda.

Pytam Was: Czemu wyście tutaj byli,
Pod Somo-Sierra, w górach Saragossy,
Męztwem i sławą w smutnej boju chwili,
Ludu męznego rozstrzygając losy?
Oh, jak bolesnem mnie się dzisiaj wyda,
Żeście deptali trupa Leonida.

Tak, czemuż widzę w Saragossy dymie
O pomstę niebios wołające duchy,
I was, broniących jego sławne imię,
Co szedł przez skały, na rozpaczę głuchy,
Z piętnem Kaina wrytem na czole,
Depcąc i męztwo, i Iberów dolę?...

Władysław Karoli.





Rys. Piętkowski.



Z PSALMÓW:

PAN KONA.



Przybądźcie, żywioly nieba i ziemi, otoczcie Pana.

Stwórca Pan umiera.

Nie umrze Pan, lecz konać będzie przez wieki, aż się odrodzi śmiercią we wnętrznościach swoich.

Przybądźcie, żywioly nieba i ziemi, uciszcie miłowaniem jego męki.

Przybądźcie, chmury gwiazd, słońce i komet mglistych, świećcie gasnącym spojrzeniom Pana.

Przybądźcie, światłości bez źródła, zorze tajemnicze, rozpalone na zrębie światów.

Ukażcie się oczom pana, o, mary i widma płynące przestworem, przylatujcie na skrzydłach bezszelestnych, otoczcie głowę Jego.

Zawiećcie słodkie wichry przedwiosenne, z ciepłą rosą na złotych grzywach, z ziarnami kwiatów w ciele obłocznem.

Przybądźcie wszelkie twory, chłone powietrze, rosę, i wszelkie twory, wezbrane życiem, albowiem Pan wasz kona.

Oddajcie życie swoje Panu, to życie, które wam dał, i którego próżen, konać będzie przez wieki.

Ducha z siebie wyjął Pan- -i stworzył stworzenie swoje. Wydobył sny przedwieczne z piersi swojej i dał im kształt i tchnął w nie ducha. I wszystko żyje. Tylko On umiera.



Nie umrze Pan, lecz konać będzie przez wieki, albowiem istnienia swojego wieki rozdał pomiędzy stworzenie.

Oto na falach purpurowych zachodu leży chmurą czarną Pan—i kona.

Leży Pan w niemocy śmiertelnej i kona w nieśmiertelności swojej.

Skrzydła motyle więcej mają siły, niż On. I mchy drzewne więcej radości mają. I źdźbłu najmniejszemu zazdrości Pan.

Leży chmurą ciemną, ogromną i wzrokiem przygasłym patrzy w doliny wieczorne. Ogląda stworzenie swoje w rozpacz, ciężkiej, bezsilnej.

Albowiem żyje stworzenie, ale umiera Stwórca.

A tak wielką jest bezsilność Jego, że opuścił wnętrza stworzeń swoich i niema Go w nich.

Więc że nie żyje Pan w łonie stworzenia swego, umiera z tęsknoty i żalości.

Gasnie zieleń wierzb nad jeziorami, usypiają gaje brzoźowe i góry śpią w płaszczu smrekowym. Lecz nie śpi w ich łonie Pan.

Płyną wichry, rozgrzane nad koniczynami, polne świerszcze dzwonią w puszczech zbożowych. Lecz w powiewie wieczornym nie chodzi Pan.

Wraca lud od pracy swojej, śpiewa mgłom purpurowym zachodu. Lecz nie ma w pieśni głosu Pana.

Wymykają się z domu dziewczęta rozkochane, biegną pod gałęziami spotkać kochanka swych nocy szalonych. Pachną zioła w sadach mrocznych i śpią w głębi gniazd ptaki zmęczone.

A kona Pan na wysokościach, że żyć nie może w życiu ziemi.

Ogląda Pan w konaniu swoim świat i widzi jego znikomość.

O, jakże inaczej śnił sny stworzenia swego, o, jakże inaczej żył w jego duchu.

Gdy w nicość patrzył i brał z niej kształt dla widzeń swoich, gdy z mgieł nicości tkął gwiazdom światło, tkął drzewom liście i ludziom ciała.

O, jakże inaczej śnił sny stworzenia swego, o, jakże inaczej żyły w jego duchu.

Stworzył je ku mocy swojej, a słabe są. Nicość wypła potęgę Pana i nie masz Go w stworzeniu.

Stworzył Pan twory swoje ku chwale swojej, a są nikczemne. Ku miłości, a zimne są i obojętne. Pożarła nicość promienie chwały i ogień miłości Pana.

Stwarzał je Pan ku rozkoszy oczu swoich, a rozwiewają się; uszu, a nie słyhać ich; rąk, a wymykają się dłoniom.

Albowiem stworzył je z nicości i nicość pochłonęła moc Tego, który jest, i została nicością.

I płyną widma gwiazd, palą się widma słońce, widma tworów roją się w przestrzeni. A imię ich nicość.

O, czemu w nicość, Panie, wcieliłeś sny Twoje. Czemu nie zachowałeś ich w sobie, by żyły prawdą i wiecznie. O, czemu w nicość, Panie, wcieliłeś sny Twoje.

Oddał Pan miłość i siłę swoją Stworzeniu i umiera.

Wzgardził Pan stworzeniem swoim i snami swego ducha i nie ma nic w duchu Jego krom wzdardy. Przeto umiera.

Leży chmurą ciemną na falach poczeniałych zachodu i wszystko, co w Nim jest, jest po za nim. I cała moc po za Nim. I cała chwała. Po za Nim siła i chwała Jego, pożarta i zhańbiona w nicestwie stworzeń.

Oddychają w świetle gwiazd puszcze zbożowe i lasy, i łąki białe rosą. Oddychają i w śnie prostują się góry, i wiatr przewiewa po morzu niebieskiem. Lecz nie masz w tem wszystkim Pana.

I nie oddychają, tylko zdają się oddychać widma pól i gór, i nieba. I niema ich. Są tylko mary senne Pana, mary bolesne przez nicość pożarte.

Nie masz na świecie nic, prócz konania.

Zapada noc czarna, noc nicości. Na całym ogromie świata jest tylko cierpienie i ból Pana, który umiera.

Leży na chmurach nicości Pan i kona.

Nic nie ma na całym świecie i nic w duchu Jego krom żalości.

I umierać tak będzie wieki, aż się odrodzi śmiercią we wnętrznościach swoich; aż sny stworzenia zbudzą się w nim radosne... sny nowe...

I przyjdzie nowy dzień stworzenia.

Maria Komornicka.





Z HIOBOWYCH PIEŚNI.

I.

Na nieśmiertelnem żywota polu,
Mało jest jeszcze łez rosy,
I jeszcze leziesz głęboki bólu
Skib nie odwrócił w niebiosy.

Jeszcze nie przeszedł krój przez zagony,
Jeszcze nie dobył z pod ziemi
Rodzajnej ziemi, co wyda plony,
Zaszumi kłosy złotemi.

II.

Mistrz prawdy zawsze jest mistrzem bólu,
A chwałą bólu — jest jego chwała.
— Witaj mi, cierniem zraniony Królu,
Po cierniach ludzkość ciebie poznała!

Gdybyś był zjawion w złotej obręczy,
Co dyamentowe tęcze rozżarza,
Duch świata, co dziś przed tobą klęczy,
Klęknąłby we łzach u stóp Łazarza.

Marya Konopnicka.





GŁOS Z WICHURU.

(Z KSIĄG HIOBA).



toś jest, co słowy chcesz nieroztropnemi
Przeciwko Panu bunt podnieść zuchwały?
Gdzieś był, gdy grunty zakładałem ziemi,
Gdy się zaranne gwiazdy wykluwały?

Gdym wód postawił rozhukanej fali
Wrota z granitu i z piasku podwoje?
Gdym rzekł do morza: stój! nie pójdziesz dalej!
Tutaj położysz wzdęte wały swoje!
Kto gasi słońce i gwiazdy zapala?
Niebo o świcie jutrzenką rumieni?
Widziałeś źródło, z kąd rzek płynie fala?
Znasz bramę śmierci? byłeś w państwie cieni?
Czy znasz to miejsce, gdzie się światłość rodzi?
Miejsce, gdzie ciemność leży naksztalt gadu?
Widziałeś skarby śnieżycy i gradu,
Zebrane na dzień klęski i powodzi?

.....
Azali człowiek, który żyje w błędzie,
Wszechmogącego Boga uczyć będzie?
Spór z nim prowadzić w nieprzystojnej mowie?
Kto to uczynił, niechaj mi odpowie!

Stanisław Kozłowski.





óksiężyc turecki zaostrome swe końce zwraca w stronę lewą; tak też przywykliśmy widzieć księżyc na sklepieniu niebieskim, gdy po nowiu brzeg zaokrąglony ku zachodowi pochyla. Jeżeli jednak ukaże on komu swe rogi na prawo wzniesione, temu szczęście zapowiada.

Tak głosi przesąd ludowy, który wszakże kryje w sobie jądro rzetelne.

Naprawo bowiem wązki sierp księżycy wierzchołkami swemi sterczy, gdy, zbliżając się do nowiu, wynurza się nad poziom tuż przed wschodem słońca. Kto go w tej postaci chce ujrzeć, winien go szukać w godzinach bardzo wczesnych.

Jestto więc przez dostrzeżenie astronomiczne wyrażona zbawienna rada: — Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje!

Jak w wielu tedy baśniach, ujawnia się tu zarówno bystrość obserwacyi, jak i dowcip ludu.

Stanisław Kramsztyk.

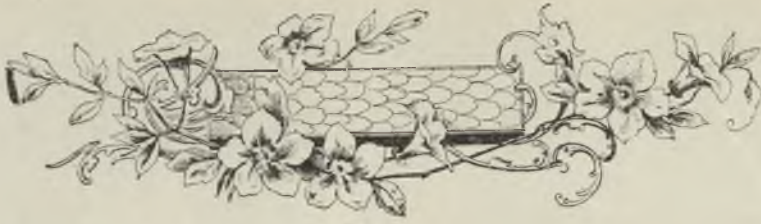




"Nepia maggior dolore
Che ricordarsi del tempo felice
Nella miseria."

Dante

Rys. L. Wiesiolowskiego.



DO MATKI

Z EDGARA ALLANA POE



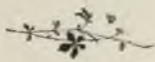
niebiosach — przeczuwana zdawna to zagadka —
Kiedy anioly szepcą ze sobą do ucha —
Nie znajdują — wśród wyrazów najśodszych dla ducha —
Gorętszego — świętszego nad ten wyraz: matka.

Więc zdawna Cię już zowią tem imieniem drogiem,
Ciebie, coś mi jest więcej, niż matka rodzona —
I jedna dziś napelniasz treść mojego łona —
Odkąd nasza Wirginia stanęła przed Bogiem.

Matka moja, co wcześniej opuściła syna,
Była tylko mą własną matką — lecz — jedyna —
Ty byłaś matką owej, com kochał nad życie!

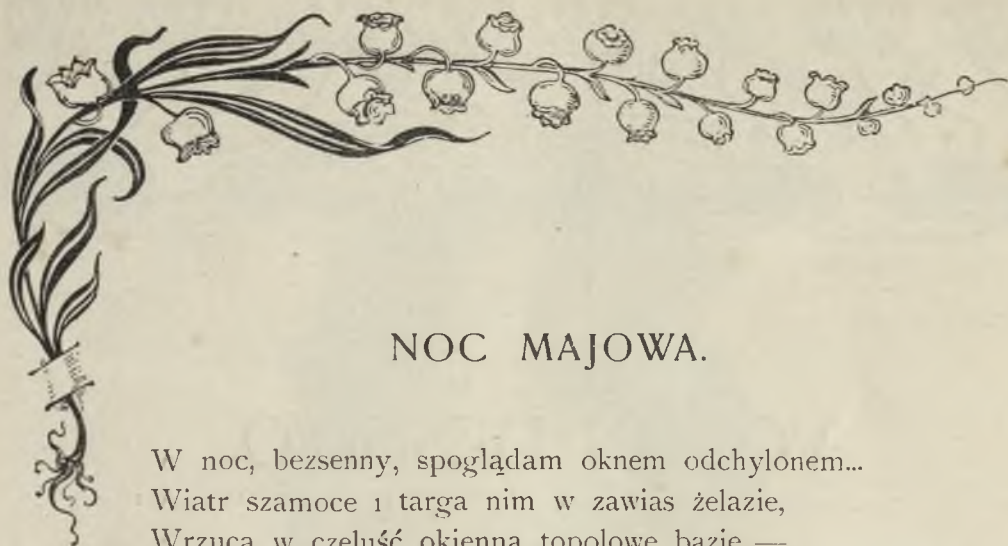
Droższaś mi więc od matki, com miał w dni
rozkwicie,
Tak jak moja małżonka, co śpi w grobów głuszy,
Była droższą mej duszy nad życie mej duszy!

Antoni Lange.





R ys.. Jaroszyńskiego



NOC MAJOWA.

W noc, bezsenny, spoglądam oknem odchylo-nem...
Wiatr szamoce i targa nim w zawias żelazie,
Wrzuca w czeluść okienną topolowe baze, —
Kwiatem z wiśni strząśniętym, jako wonnym szronem

Wnętrze izby uścięła... Mignie raz po razie
Błyskawica, i z trzaskiem piorun drze oponę
Mroków... Krzyknie gwałcona noc i błysnie łonem,
Zaczem, jakoby rzewny płacz po ślubnej zma-zie,

Płyną szumne rześistej ulewy strumienie
Na kędziory zgęstwione klombów, na kamienie
Stopni ganku, w wazonach pluszczą i sylenie

Myją torsy gipsowe, zdobiące altanę,
Z nocy tła się wydzierające, żywe tanem —
Przy wiosennej, burzliwej nocy kantylene.

Jan Lemański.





VOX IN DESERTO.



ajnowsze czasy przedstawiają nam w dziedzinie publicznej edukacji objawy, od których kilka dziesiątków lat odwykliśmy.

Powstają mianowicie zakłady naukowe wskutek inicjatywy i ofiarności nie tylko jednostek prywatnych, ale korporacji, instytucji, wskutek ofiarności ogółu. Takimi zakładami naukowymi są: szkoły rzemieślnicze, fabryczne, techniczne, handlowe, ochrony i t. p. W ruchu tego kierunku, zdaje się, zaszła główna różnica od czasów odleglejszych ta, że gdy dawniej około oświaty krzątało się duchowieństwo, arystokracja, szlachta, to obecnie przeważnie świat miejski, przemysłowy się krząta, to też wskutek tego różnią się zapewne od dawniejszych owe nowopowstające szkoły; te, które dzisiaj powstają, przeważnie są fachowe, gdy dawniejsze do ogólno-kształcących więcej należały.

Dzisiejsi twórcy, choćby tylko przez fachowe swoje uzdolnienie, rozumieć to chyba powinni, że jak każda fabryka stoi dobrymi majstrami i narzędziami, że jak powodzenie jej zależy od ciągłego udoskonalania się, tak dobroć ich szkoły—na nauczycielach, przyrządach i ciągłym czuwaniu nad postępem polega. A czyż pomyśleli oni nad instytucjami przygotowującymi tych majstrów szkolnych, nad doskonalszymi przyrządami, jak podręczniki, mapy, narzędzia?

Otóż instytucją, która u nas nie tylko jest pożądaną, ale konieczną dla obznajmienia naszego nauczycielstwa z dzisiejszym stanem pedagogii i utrzymania go na wysokości zadania, byłaby nieustająca wystawa, czyli muzeum, w któremby zgromadzone były wszelkie okazy, przyrządy,



Rys. Olszewskiego.

przedstawiające postęp w pedagogii. Niechby tu, poczynając od urządzeń żłobków aż do potrzeb tak higieny, jak metody wykładu specjalnej szkoły średniej, znajdowały się: sprzęty szkolne, przyrządy do t. z. nauki o rzeczach, albo nauki poglądowej, czy pogadarek; przyrządy i zbiory do wykładu nauk przyrodniczych, geografii, historii; atlasy, obrazy, mapy; podręczniki wzorowe do wszelkich nauk. Niechby tu znajdowały się pisma peryodyczne, odnoszące się do pedagogii, broszury i dzieła, encyklopedye i t. p.

Niechby był stały fundusz na zakupywanie nowych, udoskonalonych dzieł i przedmiotów. Niechby kustosze takiego muzeum—kompetentni—umieli objaśnić każdego, coby przybył dla oświecenia się.

Mieliśmy podobne wystawy szkolne podczas ogólnej wystawy higienicznej. Wywarły one wpływ pewien. Ale wystawy te nie były kompletne, nie reprezentowały wszystkich najnowszych zdobyczy, zresztą były chwilowo i znikły. Naturalnie instytucja taka wymagałaby dużego nakładu; tem więcej, jeżelibyśmy chcieli odświeżać ją ciągle i utrzymywać ludzi, specjalnie wykształconych do jej pielęgnowania. Jeżeli zdobyć się możemy na inne wielkie instytucje, czemużbyśmy i na tę zdobyć się nie mogli? Ale nie byłoby łatwym zapewne wzniesienie jej na wielką skalę głównie z przyczyny, że społeczeństwo nasze nie przygotowane do tego, aby zrozumieć wielką doniosłość takiej rzeczy i ztąd nie spieszyłoby z ofiarami. Niechże więc na początek częśćka tylko tych potrzeb zaspokojona będzie, a założymy już fundament dla przyszłości. Skąd wziąć na to fundusze? Sądzę, że Magistrat, który w roku bieżącym nie poskąpił znacznych sum na założenie szkół początkowych, mógłby złożyć jeszcze pewną ofiarę dla dania hasła do składek: jeżeli ma mieć szkoły, to niechże je ma możliwie dobre. Mniemam, że bez długich wyjaśnień o pożyteczności takiej instytucji — znalazłoby się niemało ofiarodawców, szczególnie z tych osób, które złożyły fundusze na założenie szkół specjalnych, coby zrozumiały łatwo interes swoich instytucji i przyszły w pomoc projektowanemu muzeum. Dla obudzenia zaś zainteresowania do tego projektu pisma nasze popularne pomieścić powinny artykuły, pisane przez specjalistów, a udowadniające korzyści nieopisane dla przyszłych pokoleń. A przecież nietrudno okazać, ile skorzystałoby zdrowie młodzieży na urządzeniach, zgodnych z higieną; ileżby się zaś oszczędziło wysiłków i czasu na zdobycie wiedzy, którą obecnie pozornie lub częściowo się tylko zdobywa, a zawsze kosztem sił młodzieży!

Gdyby tą drogą ofiary nie popłynęły, czyż prelekcje, teatry amatorskie, wreszcie wszelkiego rodzaju zabawy i wystawy, które, jako złe konieczne, używane bywają na dobywanie funduszu na inne instytucje, nie dostarczyłyby i na tę środków?

Niewiele wprawdzie mam nadziei, aby słaby głos mój mógł się przyczynić do urzeczywistnienia **rychłego** tej, tak ważnej, tak koniecznej potrzeby; ale jestem pewny, że przyjdzie czas, gdy to nastąpi: że zamiast bezustannych narzekań na szkoły, wychowanie, zaczniemy wreszcie coś robić, aby złemu zaradzić.

Floryan Łągowski.



JASEŁKA

FRAGMENT

Wielka sala w pałacu Jerozolimskim. Król Herod siedzi na tronie w otoczeniu dworzan. Na stopniach tronu klęczą dwaj królewicze: Arche-laus i Filip. Opodal stoi lekarz z czarą w ręku. Harfiarze grają na swych instrumentach. Czarni mali niewolnicy wykonywają rodzaj tańca.

CHÓR ANIOŁÓW ZEMSTY.

We łzach po złotym Rachel śnie
Dziś płacze synów swych,
I już pocieszyć nie da się,
Gdyż w Ramie nie ma ich!
O pomstę do niebieskich stref,
Z mordercy powiek płosząc sny,
Pobitych dzieciaków woła krew,
Nieszczęsnych matek lży!
Ach, drżysz, Herodzie, drżysz! za czyn tak zły
Przeklętym jesteś ty!
Nie bałeś się pacholat krwi
I tylu matek przelać łez!
Okrutny królu, biada ci,
Dni twoich blizki kres!
Ach, drżysz, Herodzie, drżysz! Za czyn tak zły
Przeklętym jesteś ty!

HEROD.

Mimo znużenia myśl się nie mroczy;
Zda się, ołowiem ciężą powieki,
Lecz sen mnie odbiegł gdzieś w kraj daleki,
Próżno, chcąc usnąć, zamykam oczy, —



Rys. W. Wejchert.

I tylko bardziej słuch zaostrzony
Jakoweś głosy w pałacu ciszy,
Jakgdyby łkania i jęki, słyszy,
Płynące do mnie z odległej strony;
Tysiące przekleństw na moją głowę
I gróźb potężnych, co we mnie godzą,
Niby topory ongi pod wodzą
Króla Hirma w drzewa cedrowe.
A wszędzie widzę krew. W blasku słońca
I w cieniu nocy wszędzie ta sama
Patrzy się na mnie czerwona plama
Strasliwym wzrokiem, ciągle, bez końca!

(Chwytając młodszego syna za rękę).

Filipie, widzisz tę plamę krwawą?

FILIP.

Gdzie, drogi ojczy?

HEROD.

(pokazując ręką). O, tam!

FILIP.

(*Postępując kilka kroków*). Tu...?

HEROD.

Dalej

Postap, mój synu, na środek sali...
Krew u stóp twoich, spojrzysz na prawo!

FILIP.

Ależ, mój ojcze, tutaj nic niema!

HEROD.

Przyjrzyj się lepiej!

FILIP.

Wytrzeszczam oczy,
Lecz nic nie widzę!

HEROD.

Niewiele zoczy,

Kto będzie tylko patrzeć oczyma,
Jak ty, Filipie, ten niedostrzeże
Rzeczy dziejących się w jego domu,
A już nietajnych zresztą nikomu,
A tak widocznych, jak miejskie wieże,
Które sięgają zenitu nieba, —
Choć nawet oczy swe wybałuszy,
Chcąc wszystko widzieć, oczyma duszy
Na życie ludzkie patrzeć potrzeba!

FILIP.

Lecz tam nic nie ma, to przywidzenie
Tylko, nic więcej, ach, ojcze drogi,
Więc się uspokój i pozbądź trwogi!

HEROD.

Precz!... jesteś ślepy!

ARCHELAUS.

Słońca promienie

Tak zabarwiły posadzkę wkoło,

Jakby krwią zlane były marmury!
Po co, mój ojczy, chmurzyć znów czoło
Przez czarodziejskie muzyki dźwięki...?

HEROD.

Cyt, Archelausie, słyszysz te jęki,
Płynące zdala, jakby w tę stronę?
Czy słyszysz głos ten, łez pełen, bólu?
Ten głos o pomstę do Nieba woła!

ARCHELAUS.

Nie słyhać, ojczy, tutaj nic zgoła!

HEROD.

Precz, jesteś głuchy!

LEKARZ.

(Podając czarę). Błagam cię, królu,
Przyjmij choć teraz lekarstwo moje!
Niewinny środek i w smutku miły
Sen ci przywróci i wzmocni siły.
Usunie wszystkie twe niepokoje,
Które myśl twoją dręczą, jak zmory.
Wystarczy kropel użycie paru
Tego lekarstwa, raczej nektaru!

HEROD.

Nie chcę go, nie chcę!

ARCHELAUS i FILIP.

(razem). Ojczy, tyś chory!
Wzrok masz zamglony, twarz twoja blada!

HEROD.

(Powstając z tronu).

O, nie, zdrow jestem! trup nie choruje,
A ze mnie trup już — i dobrze czuję,
Jak się to ciało moje rozkłada...

(Rozrywa na piersiach ubranie).

Patrzcie: robactwo chyłkiem je toczy,
Jakgdyby z niego już wyszło życie!..
Czemu tak dziwnie na mnie patrzycie
I odwracacie ze wstrętem oczy?
Ha, precz ztąd wszyscy, precz!

DWORZANIE.

Wielkie nieba!
Nowe szaleństwo króla napada!

FILIP.

(do lekarza). Co czynić?

ARCHELAUS.

(j. w.) Jakaż jest na to rada?

LEKARZ.

W niczem sprzeciwiać mu się nie trzeba.
Niechaj na chwilę sam pozostanie.

HEROD.

(rzucając się w napadzie szaleństwa).
Precz, wyście głusi! Precz, wyście ślepi!

FILIP.

Tak rzeczywiście będzie najlepiej.

ARCHELAUS.

Wyjdźmy z tej sali,—za mną, dworzanie!

(Herod rzuca się gwałtownie, owijając się w swój płaszcz. Wszyscy pośpiesznie opuszczają salę. Wchodzi Śmierć i siada niepostrzeżenie na tronie Heroda).

Witold Łaszczyński.

(Alf.)





ŻELAZNY KRZYŻYK

Przy pożegnaniu moja matka miła
Żelazny krzyżyk na pierś mi włożyła,
Żelazny krzyżyk, skromny i ubogi,
Jednak go nie dam za żaden skarb drogi.

Złoto ni srebro nie zastąpi stali,
Złoto ni srebro ognia nie rozpali,
Lepiej przystoi do ciężkiej żaloby
Twarde żelazo, niż złote ozdoby.

Co ludziom, światu wiernie pracowało,
Zawsze przed wieki z żelaza bywało:
Żelazny lemiesz, co tę ziemię ryje,
Żelazna szabla, co się za nią bije...

Nigdy więc złoto mych oczu nie skusi,
Bo dzisiaj wszystko z żelaza być musi:

Żelazna wola — by się nie złamała,
Żelazna wiara — by burze przetrwała,
Żelazne piersi, co wiarę tę kryją,
Żelazne serca, co w tych łonach biją,
A więc na drogę, co leży przedemną,
Żelazny krzyżyk na piersi zawieszę,
A gdy mi będzie i smutno, i ciemno,
Z żelaza iskrę gorącą wykrzeszę.

Marja Łopuszańska.





Każdy dzień przeżyty ma tę dobrą stronę, że nie wraca się nigdy.

== Dla człowieka rzeczą najdroższą, jest jego cierpienie, gdyż najdłużej i najchętniej własną pieści się boleścią.

== Samotność wśród wrzawy i zabaw wielkiego świata, jest stokroć gorszą, niż samotność na pustyni.

== Ze wszystkich fal wzburzonego życia najgorszą jest ta, która wraca. Ona najczęściej topi rozbitków blizkich ocalenia.

== Miłość jest, jak ptak spłoszony: ulatuje niewiadomo dokąd i z jakiej przyczyny.

Starym jest nawet człowiek młody, gdy się sam za takiego uważa.

== Zdawałoby się, że ludzie żyją po to, ażeby w końcu wzajem grzebać siebie, najczęściej jednak grzebią się sami.

== Kłamstwo szpeci twarz nawet najpiękniejszej kobiety.

Leopold Meyet.





Rys. Alchimowicz



BAJKA.

W czarodziejskim gdzieś ogrodzie,
Kędy wiosna trwa wieczyście,
Kędy wiecznie kwitną drzewa,
W szmaragdowe strojne liście;
W czarodziejskim gdzieś ogrodzie
Kryształowa stoi grota,
Kędy wisi u sklepienia
Czarodziejska lutnia złota.
Igra na niej światłość senna,
Księżycowa światłość drżąca,
Co przez szpary się zakrada
I o złote struny trąca.
Ale próżno trąca struny,
Milczy głucho lutnia złota,
Milczy ogród czarodziejski
I zakłeta, cicha grota.
Tylko czasem do tej grotty
Zadumanej i samotnej
Wpada z jękiem wicher bujny,
Wpada z szumem wicher lotny.
Niesie echa burz przebrzmiałych,
Ludzkich jęków echa niesie
I zawodzi łkaniem skargi,
I w lazury jasne rwie się.
Zda się zanieść chce do Boga
Ludzkie bóle i cierpienia —
I w przelocie trąca lutnię,
Zawieszoną u sklepienia.
Wtedy budzą się z letargu
Czarodziejskie struny złote
I przeciągłym, smutnym jękiem
Napelniają cichą grootę.

Edma Mierz.





Leżałem pod krzakami kaliny, na posłaniu mchów i paproci, zasłuchany w szmery leśne, zapatrzony w wierzchołki świerków i modrzewi.

Cisza była, lecz cisza pełna szelestów i szeptów, szumów i ech rozelkanych.

Dokoła kołysały się dzwonki i jagody tuliły się pod paprociami, szerokie wachlarze kosaćców powiewały lekko i śnieżne storczyki wystrzelały z morza zieleni.

Niebo wystroiło się w błękit i blaski, a słońce, przesuając promienie, przez gałęzie świerków, złościło kiście paproci i rzucało ruchome plamy świetlne na szmaragdowe mchy.

A bór kołysał się, szumiał i łkał jakąś modlitwą potężną, jakimś płaczem ogromnym, nieskończonym.

Przymknąłem oczy i wydało mi się, że widzę schyloną nademną cudną postać niby mglistą a rozslonecznioną. Jakieś ramiona słodkie otoczyły mnie, a pełne blasków przepaściste źrenice patrzyły na mnie z wyrazem nieskończonej miłości. Uczułem, że na twarz moją i ręce spadają zwoje włosów, niby fale roztopionego złota, ciepłe i wonne, że mnie zasypują swoim blaskiem, upajają wonią. Usłyszałem ciche westchnienie— i cudne rozchylone usta dotknęły mego czoła w długim, jak wieczność, pocałunku. Wyciągnąłem ramiona, aby pochwycić czarodziejkę, co się pochylała jeszcze nademną, czując jeszcze jej pocałunki i woń jej włosów, i słodycz spojrzenia...

Otworzyłem oczy. Słońce pieściło mnie kaskadą blasków, błękit nieba uśmiechał się z poza gałęzi, niby para oczu błękitnych, przepaścistych, a wiatr muskał mi czoło rozkołysaną gałęzią kaliny.



CIEŃ. Dobro jest światłem, a zło cieniem. Dlaczegoż więc wszystkie przedmioty, dlaczego i człowiek, najdoskonalsza, jak mówią, istota zamiast rzucać smugi świetne na drogę swoją, światło to zasłania i ma na każdym kroku nieodstępного, wiecznego towarzysza — cień?

Czy i duchy rzucają cienie, czy tylko ciała? Czy ten cień, naksztalt przekleństwa dążący tu za nami, i w nieskończoności błądzić za nami będzie, czy może duch jest świetnością samą i nie zaciemnia sobą bezmiaru, ale go rozświeca? Bo wszakże cieniem jest zło, a światło dobrem.



KŁOS. Szedłem tęskny i cichy wąską ścieżyną, co naksztalt jasnej wstęgi przerzynała lasy i pola. Nademną rozpościerała się lazurowa kopuła niebios i złote słońce sypało snopy promieni. Dokola szumiąły łany kłosów, aż do ziemi od ciężaru ziarn pochylonych, i przechodziły po nich szepty dziwnie nieskończone.

Gdzieniegdzie zakraśniał mak polny lub bławatek błękitną główką mignął, a dokola tylko złoto słońca i złoto kłosów.

Na drodze, którą szedłem, wyrósł także wysoki kłos żytni, podniósł kiść srebrną i chwiał się od podmuchów wiatru.

I zapytałem w duchu, dlaczego kłos ten zgóry jest na zagładę skazany? Przecież i on mógłby dać ziarna złote i chleba ludziom przysporzyć.

I pytałem dalej, dlaczego nie wszystkie kłosy dają ziarna, a nie wszystkie ziarna wyrastają w kłosy, dlaczego wiele ziaren kąkol zgłuszony lub przechodnie zgniota?

I pytałem dlaczego — i było mi smutno.

Edma Mierz.





S. Masłowski
98.

Rys. Stanisław Masłowski.



Z CYKLU „UPOJENIA“



Gdy, bez pamięci, w nocnej ciszy głuchej,
W rozkosznym zmysłów zatonej obłądzie,
Czasbym wstrzymywał, mknący w chyżym pędzie,
Kiedy się nurzam w ciał niewieścich puchy...

Upojonego w słodką sieć oprzędzie
Sen, co hamuje dzikich żądź wybuchy,
I jako żeglarz wtedy jestem w kručiej
Łodzi na skalne rzucany krawędzie.

Jednak wytchnieniem dla mnie sen nie będzie,
Lecz wiernem echem zmysłów zawieruchy...
Nieukojone, namiętne podmuchy
Zawsze mi palić będą mózg, gdyż wszędzie,
Gdzie tylko piersi błysną mi łabędzie,
Słodkie uścisku nęcą mnie łańcuchy.

II.

Zanim zginę w zapomnienia fali,
Niechaj z Tobą luba się popieszczę, —
Nim przeznaczeń wyrok mnie oddali,
Daj mi usta ucałować jeszcze...

Niechaj z Tobą luba się popieszczę,
W słodki uścisk postać Twą oplotę...
Daj mi usta ucałować jeszcze,
Oczy Twoje i warkocze złote...



W słodki uścisk postać Twą oplote,
A z usteczek całą słodycz zmusnę..
Pieścić będę Twe warkoczki złote,
Aż na wrzącej Twojej piersi usnę.

Z Twych usteczek całą słodycz zmusnę,
A gdy główkę przegniesz upojona..
Nim na wrzącej Twojej piersi usnę —
Jeszcze raz pochwycę Cię w ramiona.

Władysław Nawrocki.





Rys. Kipmana.



Z CYKLU SONETÓW

PRAGNĘ.

„PRAGNĘ!” Ika ziemia w dniu pierwszym stworzenia,
Tchem Bożym z mętnych otchłani dobyta, —
„PRAGNĘ!” jęk idzie przez światy i pyta
Stwórcę o wieczną zagadkę istnienia.

„PRAGNĘ!” Ika chmura w obłokach spowita
I z łona ziemi ssie łzawe jej tchnienia;
„PRAGNĘ!” myśl serce rwie szalem i zgrzyta
Klątwą — w gorączce bezsilnej pragnienia.

Stwórco! czyż starczy błękitom twym rosy,
By zgasić żądze płomienne milionów?
W duszach, co łakną dżdżu życia, jak kłosy,

A patrząc w niebo, tysiącem mrą zgonów?
Czyż syte szczęścia zbudzisz kiedyś głosy,
By pieśń miłości chór zgodnych wszczął tonów?

Anna Ceumanowa.



BŁĘDNA GWIAZDA

Srebrna, cicha, z kryształów błękitnych utkana
Noc, nad nędzą gniazd ludzkich, nad skargą ich dzienną,
Skrzydła miękkie pochyła; już ziemia skroń senną
Na jej puchach układa, snem lekkim huściana...

Wtem z obłoków potęgą tajemną zerwana,
Gwiazda niebu wydarta w toń pada bezdenną —
I znów cisza, — już smuga zagasła świetlana,
Drzemią światy, — noc szatę im przędzie promienną.

O! nie ufaj spokojnym oddechom tej ciszy!
W tych błękitach śmierć stąpa i zgubne śle drgnienia;
W nich wre walka o życie: Bóg jeden ją słyszy...

Tak i sercu nie ufaj, choć uśpi wspomnienia,
Ono w cichych snach nocy tysiącem żądź dyszy,
Jedna chwila je strąca w szal błędu — zniszczenia.

Anna Neumanowa.





GALERYA OBRAZKÓW.

KWIAT ROZKOSZY

W ogródku nad różą białą
Czarny motylek ulata.
„Czy chcesz mnie kochać, jak brata?“
Pyta nieśmiało.

„Motylku, czem nasze śluby?
Wczoraj pan kwiatów zażądał,
Już mnie ogrodnik oglądał,
Dziś dzień mej zguby.“ —



— „Różyczko, pan jeszcze dziecko,
Ogrodnik litość ma w duszy,
Zadrzy i ciebie nie ruszy,
To człowiek przecie!“

„Ach, skryj się, motylku, prędzej,
Ogrodnik już tu się zwrócił,
A pan mu do czapki rzucił
Tyle pieniędzy!“

Andrzej Niemojewski.

N

BAJKA MAŁŻEŃSKA.

Siadło do lekcji dziewczątko płoche,
Miętosząc w palcach fartuszka rogi;
Mentor wykłada kurs psychologii,
A mama słucha, robiąc pończochę.
„Czy pani wie już, powiedzieć proszę,
Jak mkną wrażenia przez nerwów wstęgę?”
„Ach, znam już dobrze wrażień potęgę!”
A mama gubi oczko w pończosze.
„Czy pani zatem wie już choć trochę,
Czem jest uczucie, czego dokaże?”
„Ja to już przeszłam w całym rozmiarze.”
A mama chrząka, kładąc pończochę.
„Co pani robi, jeśli przypadkiem
Przedmiot wrażenia na panią działa?”
„Ach, reaguję, jak mogę, cała!”
Mama na zegar patrzy ukradkiem.
„Nie tknąłem jeszcze istoty rzeczy.”
Zwraca się mentor. „Dalibóg, mamo!”
Wykrzyka córka. Lecz mama przeczy:
„Sądzę, że ja ci wskażę rzecz samą!”

Andrzej Niemojewski.



WILEGIATURA.

Grają w altanie partyę à vista...
Kobiety płoną, jak róże,
W bluszczach wiaterek majowy śwista...
Grają, a stawki są duże.
Mecenas partyę gra z baronową,
Która jest dzisiaj prześliczną.
Baron pasuje. Grają na nowo,
Chwila się staje krytyczną.
Gra baronowa. Na radcę kiwa
Żona: „Patrz, słoni ich drzewo,
Jak ona świetnie lewy zakrywa!”
Mąż pyta: „Ktoż tu jest lewa?”
Zagrał mecenas. Szept idzie w koło:
„Jak on zagląda jej w kartę!”
Baron spąsowiał, lecz rzekł wesoło:
„Zagrajmy w karty otwarte!”
„Ach asa!” szepce drżąc baronowa,
Chyląc się przed mecenasem.
Baron zjadliwie podchwycił słowa:
„Ja jestem wiernym tym asem!”
Panowie świetnie grają à vista,
Kobiety pełne są krasy,
Wiatr, szykanując piosenkę śwista;
„Nie grajcie na cudze asy!”

Andrzej Niemojewski





WIERZ!

Płynąc po życia burzliwej fali,
Wierz w lepszą przyszłość dla ludzi;
Wierz w słońce złote, co w mgle się pali
I wciąż do życia świat budzi.

Wierz w nieśmiertelność ludzkiego ducha,
Co nosi potęgi znamię,
Głosu ananke wszechświata słucha
I twarde opoki łamie.

Wierz w nieśmiertelność prawd wiekuistych,
Rządzących świata przestworzem;
W skuteczność pracy duchów przeczystych
I tchnieniem owianych Bożem.

Wierz w siłę myśli ludzkiej oręża,
Co nocy podbija kraje;
Wierz w miłość wielką, co śmierć zwycięża,
W ból wielki, co życie daje.

I. Nitowski.





Rys. Tracewskiego.

ŁAS.

Tu w powietrzu mi wszędzie brzmią czarowne
[dźwięki
Pocalunków i szeptów namiętnych: drzew rzesza
Zielona szmerze, śpiewa, szmerem swej piosenki
Roje chwil bezpowrotnie już minionych
[wskrzesza.

W tej świątyni miłości tak często słuchałem
Słów: „Kocham cię! Jam twoja!” — i, patrząc
[w jej oczy,
Opasany splotami jej wonnych warkoczy
I ramion jej, rozkoszy upojony szaleń —

Jak bóstwo-m czuł się wielkim, — szczęśliwy, jak ono,
Szczęśliwy wbrew wyrokom i potędze świata.
Dziś oddech tłumiąc darmo łzawemi oczyma,

Wpatruję się w gęstwinę tę szumną, zieloną,
Czy wśród drzew gdzie nie mignie ukochanej szata...
I padam na twarz łkając... już jej niema, niemal...

Józefat Nowiński.



ZA GWIAZDY I DALEJ.



Agonii rozpaczy, nie śmierci — się boję.
 Gdybym zginąć mógł, wiedząc, że dla ciebie ginę,
 Mógł paść w walce, swym zgonem płacąc szczęście twoje,
 Z uśmiechem dumy szedłbym w wieczności krainę.

Jeśli masz kiedy losów mych ku zgubie szale
 Sama sercem oziębłem przechylić... — O, Boże!
 Ty każ stanąć mojemu dziś w walki zapale!
 Niech skonam, nim do grobu marzenia swe złożę.

Lecz gdyby los nam kazał rozstać się na wieki
 I umierać z tęsknoty na dwóch krańcach świata, —
 Lepiej niechbyśmy razem w uścisku skonali,

Pocałunkiem swe wzajem zwierając powieki,
 Czując, że duch nasz wspólny — już wolny — ulata
 W kraj światłości, ku gwiazdom, za gwiazdy... i dalej!

Józefat Nowiński.



DO ŻEGLARZA.

Żwawo strąć na głębinię łódź, żeglarzu młody!
Tysiące słabych fala ku zgubie uniosła,
Lecz ty masz ręce silne, mocny masz ster, wiosła,
Więc śmiało choć z niepewnej korzystaj pogody.

Szcześnie ci podróży! Gdy na pełne morze
Łódź zapędzisz i brzegi znikną w mglistej dali,
I gdy tam cię zaskoczy noc, a nie zapali
Swej latarni północnej niebo, gdy przestworze

Będziesz miał tylko wodne przed sobą bez granic,
Czarną płachtą chmur groźnych przykryte, pierś mężka
Niech rozpaczą nie wzbiera: łamanie rąk na nic!

Mężtwo! Gdzie trwogi niema, tam daleka klęska!
Horyzont masz w busoli, a chmura ci wróży
Błyskawicę: patrz igły...

Szcześnie podróży!

Józefat Nowiński.





SERCE.

Tam, na rozstaju, u trzech dróg wybrzeży,
Pławiąc się w błocie, ciche serce leży...
Stopom przechodniów na tortury dane,
Leży krwawiące — i sponiewierane!

Idą wędrowce na trzy drogi owe,
Depcąc bezmyślnie serce purpurowe,—
A ono kona, z błota patrząc w zorzę,
I w ludzką podłość uwierzyć nie może!

I raz — z twarzyczką dziecięco różową
Szedł ktoś, co w błoto stracił serce owo.
I — uśmiechnięty — z krwawego strumienia,
Drżące z kochania, podniósł odniechcenia.

I zobaczywszy, że to jeszcze żyje,
Zatopił w sercu litosne lilije,
I rwał,— i patrzył, jak wiatr strzępkciem
[wionie...
Święte... anielskie... miłowane dłonie!...

Artur Oppman (Or-of).





Rys. Tańskiego.



POWRÓCIŁ



Z poza pni krzywych jabłoni, z poza rzędnej już sieci gałęzi i liści jasnej jesiennej zieleni, z poza bogatych koron drzew starego ogrodu przebijało się płomieniste morze purpury i roztopionego na zachodzie złota, — za dalekim łanem zachodziło wrześniowe słońce. Bledsze, złociste promienie kładły się miękko na wierzchołkach drzew, złocąc je i opromieniając aureolą cichej jasności. Pośród wierzchołków widać było błękit przedwieczorny, zupełnie wypogodzony i świetlisty, po którym rzadka przesuwają się drobne lekkie obłoczki, wędrujące ku zachodowi.

Szła środkiem ogrodu zacieniona aleja drzew leśnych, od widniejącego przy jej początku starego, niskiego domku ku niedużemu stawowi na przeciwległym końcu ogrodu. — Z oszklonych drzwi domu wyszedł młodzieniec i skierował się aleją w stronę stawu. Wyglądał niewiecej, jak na lat dwadzieścia kilka, chociaż na ściągłej jego twarzy dostrzedz było można ślady znużenia czy przeżytych trosk i cierpień.

Szedł i rozglądał się wkoło, jak ktoś, kto po długim niewidzeniu znajdzie się w miejscu dobrze znanem oddawna. Pełną piersią wciągał do płuc czyste i świeże powietrze wieczoru — i widać było, że każde głębsze odetchnięcie sprawia mu dużą przyjemność i ulgę. Szedł, zatrzymując się chwilami, aby spojrzeć na jakąś polankę, wyzierającą przez szerszy między drzewami otwór, nalaną aż po brzeg słońcem od zachodu, na jakąś boczną ścieżynkę, która biegła od alei i ginęła

w zaroślach... Pod nogami szeleściły mu liście zwiędłe, opadające z grabów i topoli, — czasem, gdzieś na wierzchołku drzew zerwał się jakiś szmer, i szedł z drzewa na drzewo wzdłuż ulicą nad głową idącego szmer, kojący niezmiernie, kończący się jakby jakimś wielkiem westchnieniem ulgi. W drzewach świergocące ptaki czyniły wrzawę przed usnięciem. Zapach z kwiatów aż tu zalaływał z klombu przed domem, słodko pachnęły jabłonie. Idący czuł się jakoś dobrze i lekko, — jak dawno się już nie czuł podobnie, — miał wrażenie jakiegoś wielkiego zacisza i zupełnego bezpieczeństwa, jak gdyby przez te szeregi drzew cichych nie mógł tu zalecieć ze świata żaden ból, ani burza żadna z burz, szalejących po świecie.

Lat kilka nie widział tych miejsc, — a jednak mało tu się co zmieniło: gdzieniegdzie drzewo uschło i stało bezlistne i smutne, gdzieniegdzie krzywa jabłoń pochyliła się i pniem popęzła po ziemi, rodziła jednak — rumiane jabłka świeciły oto wśród trawy; ścieżki tylko zarosły gęstą trawą i krzakami wiśni, nieoczyszczane widać oddawna.

Przypatrywał się drzewom przydrożnym; każde z nich miało dla niego jakiś odrębny charakter, jakąś niby treść wewnętrzną, która oto teraz szła od drzewa wprost ku niemu do duszy, jakby pamięć drzewa, jakby jakaś mowa pamiętna a tajemnicza. Zdawało mu się, że te stare drzewa spoglądają nań opiekuńczo i przyjaźnie, i czuł się wśród nich, jak człowiek, który wyszedłszy z wrogiego otoczenia, gdzie był dużo wycierpiał, widzi dokoła siebie uśmiechnione twarze ludzi sprzyjających mu i życzliwych. Idącemu tak wśród szelestu zwiędłych liści pod nogą, wśród szumu lip i topól nad głową, — niby wśród echa dni minionych dawno, pomimo woli snuły się wspomnienia i wstawaly obrazy jedne po drugich przed duszą.

Zdało mu się, że widzi przez chwilę siebie, małego chłopczykę, biegającego pośród tych samych drzew, że widzi spoglądające nań z miłością wielkie, czarne oczy matki, która młodo umarła. Pamiętał dobrze dziwny wyraz tych oczu, gdy patrzała na niego, wyraz pełen czułości bezmiernej i jakiegoś smętnego zamyślenia... Po matce też odziedziczył zapewne wielką wrażliwość i chwilami skłonność do nieokreślonej zadumy; zresztą był dzieckiem żywem zawsze i swawolnem.

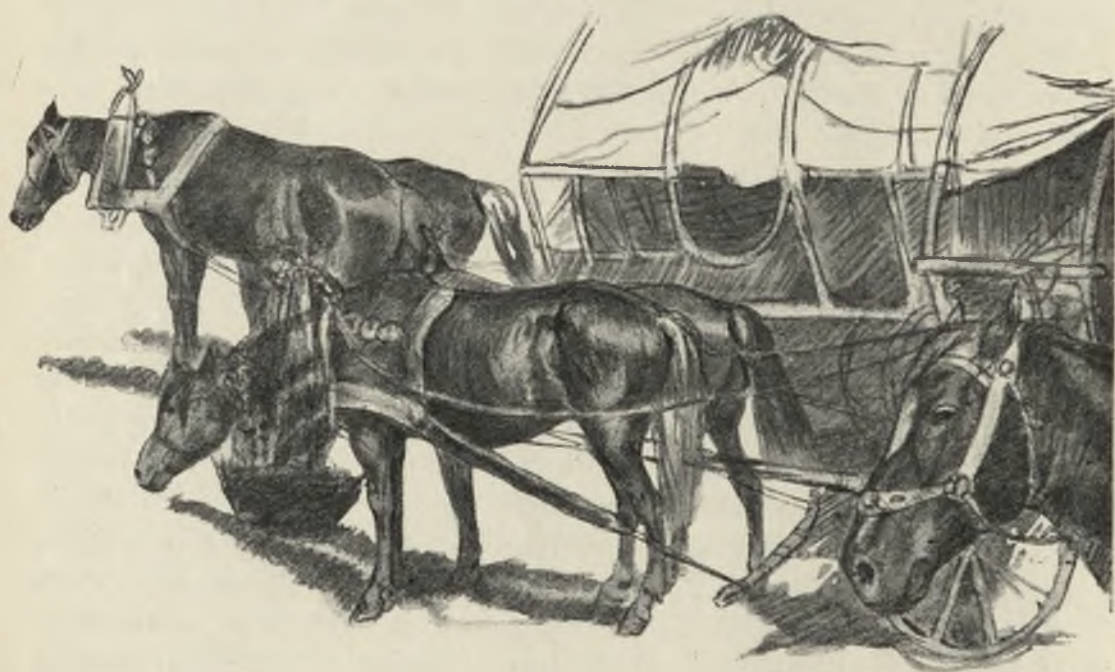
Stały mu z kolei w pamięci lata szkolne, szereg wesołych w domu wakacyi. Przypominał sobie, jak mu było dobrze, jak błogo przy tych szumiących łąkach zbóż, przy gwarze weselnym żniw. Nie zdawał sobie wówczas dokładnie sprawy z tego uczucia wewnętrznego

spokoju i równowagi duchowej, ale wyjeżdżał zwykle z letnich wakacyj do miasta, ogromnie pokrzepiony i spokojny.

W mieście rozpoczynało się dlań zupełnie inne życie. Od dziecka miał nadzwyczaj wrażliwy temperament, jakieś usposobienie nerwowe, na które niezmiernie ujemnie działał ruch gorączkowy wielkomiejskiego życia. Dość mu było wyjść na ulicę, aby spotkać się na każdym kroku z tysiącem pokus: nieustanny ruch powozów, świetne wystawy sklepowe, jaśniejące okna cukierni, wszystko go nęciło, rwało w wir, odurzało. Jako uczeń, nie mając przytem dużo na zbyteczne wydatki pieniędzy, nie mógł iść za tym niespokojnym popędem, męczyło go to jednak wszystko niezmiernie i rozpraszało ów spokój, z jakim mu tak dobrze było w domu. W tym wirze jednak, który go odurzał i dręczył, nie tęsknił do wsi.

Przypomniawszy sobie śmierć ojca, na parę lat przed ukończeniem szkół, i pogrzeb przy licznych zjeździe sąsiedztwa, ojciec bowiem szanowany i lubiany był powszechnie. Osierocony, doszedł do pełnoletności pod opieką stryja, który też objął czasowy zarząd jego majątności. Po smutnych w opustoszożonym domu wakacjach, po szczerym żalu po ojcu, którego kochał serdecznie, znów lata nauki wśród nerwowego życia miejskiego, bibliki koleżeńskie, na których przewodził zwykle książę X., jedyny inicjator i organizator wszelkich hulanek. Pamiętał swoje zbliżenie się do księcia kolegi, co pochlebiało trochę jego próżności, a przytem dawało możność przyjmowania udziału w hulaszczem życiu, jakie wiódł jeszcze, będąc w szkołach, książę. Zbliżały się wreszcie ostateczne egzamina, które nie wzbudzały w nim obawy, zawsze bowiem był jednym z celujących w klasie, gdy oto zaszło zdarzenie, które stanowiło o jego przyszłym losie. Umarła ciotka, — jedyna siostra jego matki, stara panna, która zapisała mu swój majątek, wynoszący kilkanaście tysięcy w gotówce. Wrażenie było silne, mogące oddziaływać ujemnie na przebieg egzaminów, tembardziej, że na wieść o spadku zjawilo się naraz wielu usłużnych przyjaciół, którzy gotowi byli dostarczyć na razie pieniędzy. Książę zaproponował mu zaraz wspólny wjazd po Europie, olśniewając go perspektywą pełnego wrażeń życia na szerokim





Rys. Sowiński.

świecie. Umówili się w jesieni zjechać w Krakowie i udać się razem za granicę. Tymczasem, po złożeniu egzaminów, powrócił na wieś do domu.

Jakieś niemiłe wspomnienie pozostawiło mu owo lato, spędzone częścią w Warszawie dla uregulowania spadku, częścią u siebie na wsi. Spokój wiejski nie mógł go już uciszyć, jak dawniej, zanadto był bowiem gorączkowo rozmarzony podróżą za granicę, która mu się uśmiechała i wabiła, jak czarodziejka zakłęta. Przypomniał sobie ów spór ze stryjem, który skończył się przykrem zerwaniem. Stryj życzył sobie, aby sumkę spadkową użyć na podniesienie gospodarstwa, chociaż bowiem mająteczek leżał w urodzajnej czarnej ziemi, zapuszczony jednak był i wymagał pewnych wkładów. Ale on, olśniony perspektywą podróży i świetnego życia zagranicą, ani słuchać chciał o wkładaniu pieniędzy w ziemię.

Umyślnie też lata tego mniej obcował z przyrodą, a raczej obcowanie to nie było tak szczere ze stron obu i serdeczne, jak dawniej. Wobec tych pól rozległych, które go wykarmiły, wobec tych drzew starych, szumiących ponad domem, czuł jakieś dziwne skrępowanie czy zakłopotanie; nie mógł już otwarcie i śmiało spojrzeć na nie, jakgdyby lękając się wyczytać jakiś niemy wyrzut; czuł, co się czuje wobec osoby, względem której nie mamy czystego sumienia.

Najgłębiej może w jego pamięci z tego czasu utkwilo spojrzenie głębokich, ciemnobłękitnych oczu Julinki, spojrzenie, dziwnie kojące... Zresztą cała Julinka była, jak gdyby uosobieniem spokoju i cichej pogody. Te wielkie, przejrzyste źrenice miały jakąś dziwną i szczególną władzę: gdy się w nie patrzyło—miało się wrażenie jakiegoś zatopienia się, tonięcia w błękitną otchłań, nieskończenie pogodną i słodką. Całe strumienie jakieś ciche i spokojne łały się z tych źrenic i sączyły do duszy patrzącemu...

Przypomniał sobie pożegnalną swą u nich wizytę przed wyjazdem, gdy Julinka wyszła do niego cichsza jeszcze, niż zazwyczaj i jakgdyby smutniejsza, a jemu się zdało, że wówczas czytał w jej oczach wyraz: „zostań!..“, wymówiony z dziwną ciszą i prośbą błagalną... Lecz czyż mógł się zakopać w tej głuszy, w dali od świata, który teraz właśnie uśmiechał się i stał mu otworem?

Pamiętał dobrze dzień odjazdu. Była jesień — i złoty na niebie poranek, gdy wyjeżdżał. Na polach, — na błyszczącej ścierni, — stały już ciche kopy zżętego zboża; gdy je mijał, zdawały się go zapraszać i wołać wślad zanim: „zostań przy nas!..“

Drzewa starego sadu szumiały za nim, jakgdyby wołając: „pozostań!...”

A on jechał — z gorączkowym jakimś pośpiechem i naglił woźnicę, — nie oglądał się, — jakgdyby się lękał, że te wołające za nim głosy zbóż i drzew rodzinnych zdolne są powstrzymać go i mocne z drogi zawrócić...

W Krakowie zastał już księcia i razem ruszyli sznelcugiem w dalszą drogę.

Pierwszym etapem podróży był Wiedeń. Dzięki stosunkom księcia zawarł odrazu liczne znajomości w kółku złotej młodzieży i eleganckiego półświatka. Tu przesunęły się przed jego pamięcią nieskończone dni hulanki i zabaw, noce bezsenne, opera, nieraz zielony stolik... Grał ogromnie nieszczęśliwie, miarkował się jednak i wyżej nad oznaczony kusz nie puszczał.

Mignęło przed nim parę scen pojedynków gdzieś w zamiejskim lasku...

Rozpoczęło się to życie gorączkowe, którego dzień każdy nowe niósł wrażenia, — życie, ogromnie wyczerpujące, w którym kropla po kropli płynęło zdrowie, a strumieniem płynęły pieniądze. Z początku nowość, niezwykłość, świeżość wrażeń, różnaitość, która olśniewa i nęci... później — już tylko zwyczaj, od którego trudniej lub łatwiej odwyknąć, obojętniejący nałóg... Potrosze życie eklić poczynało, — przyszłość groziła znieczuleniem — i nudą. Z nadchodzącej apatyi wywiodły go czarne, płomienne, jak żar, oczy...

Spotkał ją w pociągu, jadąc z Paryża do Neapolu. Uderzyły go te płomieniste, słodkie źrenice, których spojrzenie mdlało pod przysłonięciem rzęs aksamitnych, i ów nieuchwytny jakiś uśmiech, wykwitający na wargach, którego tajemnicę napróżno starał się odgadnąć. Pokazała mu tekę ze swojemi szkicami górskiej przyrody; zdradzały one talent i subtelne poczucie piękna, lecz traktowała sztukę po dyletancku. Jechała właśnie do Szwajcaryi w góry po odświeżenie dawnych wrażeń i po zapelnienie szkicami swej teki. Olśniła go odrazu iskrzącym się dowcipem i zajęła tym nieuchwytnym wyrazem warg uśmiechnionych, wyrazem ironii czy



jakiegoś żalu. Na pierwszej stacji wziął bilet do Genewy, by towarzyszyć pięknej sąsiadce do celu jej podróży.

Tu stanęła mu żywo przed oczami sielanka kilkomiesięczna w alpejskim parowie, w jakimś czarodziejskim zakątku, oddzielonym od reszty świata olbrzymością nieprzebytych gór, których lodowe wierzchołki paliły się każdy wieczór pożarem tęczowych ogni. Miękki szmaragd łąk, u stóp rozciągniętych w dolinie, na nim srebrne tamy zdrojów i szafirowe jezioro, dokoła prostopadłość skał i szczytów śnieżnych olśniewającej, niepokalanej białości ze złoto-purpurową lamówką co rano, fioletowe cienie zstępujące po stokach o zmierzchu, nad tem wszystkim wygięta wdzięcznie kopuła przezroczystego błękitu, jakiś światek zupełnie odrębny, sam w sobie, zamknięty szczelnie, zalany najpromienniejszem słońcem i napełniony słodkim powietrzem,—jakaś niby bania tęczowa i szklanna, — w której życie — snem... Bliżej — słodkie usta Helminy i palący promień jej źrenic, — mdlejący, — a nie gasnący ani na chwilę...

Przed nadchodzącą porą dżdżystą uciekli do Genewy. Z odludnej prawie pustelni przenieśli się w gwar miasta, w wir zabaw, w rój różnorodny i różnobarwny... Ożywienie się Helminy, jej kokieteria, sceny coraz przykrzejsze, wyrzuty, przekleństwa, przedsmak piekła na ziemi, w końcu zerwanie i jego niemal ucieczka z tego zakątka ziemi, co przywitał go rajem, a piekłem pożegnał, gwałtowna potrzeba jeszcze silniejszych wzruszeń, aby wściekłą wewnętrzną burzę przytłumić, przywiodła go w końcu do Monte-Carlo. I oto przypomniał sobie z dziwną dokładnością, jak coraz w jego duszy przybierała fala nieprzepartej namiętności, bezcelowej i ślepej, nie dbał bowiem o wygraną, i gdyby posiadał miliony, nie wiedziałby co z niemi począć. A jednak namiętność rosła, stawała się panią wszechwładną, wypiekała gorączką rumieńce na zbladłych policzkach... Życie paliło się jakimś pożerczym płomieniem.

Czy długo to trwało? Nie umiał nawet zdać sobie z czasu sprawy, żył jakby we śnie gorączkowym i mglistym.

Pamiętał jednak ten zgrzyt tępy ruletki, — tę ostatnią sztukę złota rzuconą na stół... Pamiętał, jak wstał, jak chwiejnym krokiem opuszczał salę gry... Na dworze był ranek pogodny i rzeźwy. Oparł się o jakąś baryerę, patrzył na jakąś — wodę bezmyślnie i tępo. Zwolna rzeźwość poranku cuciała go, wiała chłodem na rozognione czoło, odświeżała zmęczone, senne oczy, jutrzienka rozciągnęła się różanem pas-

mem nad jakąś zielenią drzew; zaczęło wschodzić słońce. Dokoła szebiotwały zbudzone ptaszki. Począł gorączkowo przechadzać się po ulicy. Jedyną myślą, jaka się wyłaniała świadomie z chaosu, było ogromne, niezwalczone pragnienie spokoju... Gdzie go szukać?... Morze — błysnęło mu w myśli... Neapol...

Dnia tegoż jeszcze pędził pociągiem ku stronie południowo-wschodniej.

Błękit — i jeszcze błękit, — z którego się wynurza, olśniewająca wzrok białość marmurów, stoki iskrzącej zieleni, upstrzone różowem kwieciem brzoskwiń i złotem pomarańcz, — oto wrażenie, jakie pozostawił w jego pamięci Neapol. Tam na Villa Reale, na cienistej nadbrzeżnej ulicy, sadzonej rzędami platanów i wiecznie zieleniejących się dębów, pod słodkim cieniem zielonego drzew baldachimu, — całemi godzinami przesiadywał wpatrzony, — zatopiony raczej w ten promieniejący błękit, jaki się przed nim rozciągał w nieskończoność. Postanowił nie myśleć, — tylko pić i wchłaniać całą duszą ten dobroczynny, miękki, światłem przepojony błękit. Z początku udawało mu się to: czuł rzeczywiście, że fala za falą tego błękitu wlewa się i wnika do duszy, — zatapia ją, — wypełnia aż po brzeg, — koi... Dobrze mu z tem było: było to jakieś życie roślinne, ale błogie, jakaś wegetacya miękka, — płynna, — nieznanej słodyczy, — półsen jakiś, próżny wszelkich ostów i cierni myślowej egzystencji... Lecz jak wyzwierciadlony wód błękit lada powiew, który nadleci, zamąci mgłą i zwichrzy, tak myśl każda o rzeczywistości zdolna była odrazu całą tę błękitną ducha pogodę zwiać i rozproszyć... Czuł to — i bronił starannie przystępu do siebie myśli gorzkiej, — a raczej wszelkiej myśli z rzeczywistości.

Zapatrzonemu tak w ten mórz błękit, niewiadomo skąd, śniły się i przypominały niebieskie oczy Julinki, których wyraz był równie prawie pogodny i kojący, jak to morze i to niebo, lecz i tę myśl odganiał od siebie jaknajżywiej.

Lecz oto czuł, że zwolna coś się w nim zmienia, coś przeistacza. Jakaś czczość i próżnia wewnętrzna przebijała przez ową pozorną pogodę — i zwolna z tego błękitu wyłaniało się jakieś pragnienie nieokreślone, jakaś potrzeba nieuświadomiona odrazu, lecz coraz wyraźniejsza, — aż wreszcie sformułowała się w pojęciu: praca. Było to rzeczą naturalną i do przewidzenia możliwą, pomimo bowiem wielkiej wrażliwości i chwilowego kontemplacyjnego usposobienia, należał do zdrowych natur, które próżnia życia i bezczynność dręczy i zabija.

Pragnienie to stawało się coraz żywszem i nieodpartem. Nie chodziło mu zrazu o celowość tej pracy, ani o jej rodzaj, szło o samą istotę,—o to, aby w jakiejkolwiek pracy dać ujście nagromadzonej nanowo—w duchu jego zarówno, jak i w mięśniach energii. Pragnienie pracy łączyło się coraz częściej z myślą o kraju, o rodzinnych stronach, o wiosce. Nieraz patrząc na platany i laury, myślał o swoich rodzinnych dębach i grabach, o szumiących lipach, tych wiernych stróżach dróg i gościńca. Chwytał siebie nieraz na tych wspomnieniach bezwiednych, — odganiał je, — ale powracały...

Wreszcie pragnienie to stało się tak gwałtownem, że przeszło ze sfery myśli do rzeczywistości, i począł naprawdę myśleć o wprowadzeniu go w życie. Wymagał tego zresztą i smutny stan finansowy; żył tu oszczędnie, ale już gonił resztkami; zaglądała nędza. Był wprawdzie sposób najprostszy wybrnięcia ze smutnej sytuacji: należało napisać do stryja o pieniądze na kosztą powrotu. Ale było to tem samem upokarzające przyznanie się do błędu, — ambicya na to nie pozwalała.

Siedząc w tem smutnem rozmyślaniu pewnego wieczoru na nadbrzeżnej ulicy, ujrzał niespodzianie, przechodzącego obok, księcia X.

Było to jedyne szczęśliwe dlań spotkanie z tym panem. Księżę powitał go po przyjacielsku. Dowiedziawszy się w rozmowie o jego poszukiwaniu pracy, zdziwił się i nazwał to pragnienie „osobliwą manią;“ gdy się dowiedział jednak, że z tą chęcią łączy się potrzeba, zmienił cokolwiek ton poufały,—i przypomniał sobie w końcu, że ma tu przyjaciela hrabiego Z., który posiada dobra w okolicach Neapolu; przyrzekł więc wystarać się o jaką posadę w jego majątku.

I oto ostatni obraz,—ostatnie wspomnienie. Wdzi siebie szczęśliwym dozorcą robotników w winnicach hrabiego Z. Szczęśliwym prawdziwie, popierwsze bowiem znalazł pracę, powtóre rodzaj pracy najlepiej odpowiadał jego chęci. Obznajmiony dawniej jeszcze z sadownictwem, mógł nie tylko z zamiłowaniem, ale i z korzyścią wypełniać swoje obowiązki. Rad, że się dostał wreszcie do pracy, nie poprzestawał na dozorowaniu robotników i udzielaniu im wskazówek, lecz sam brał nieraz do ręki nóż ogrodniczy lub rydel.





Rys. Alchimowicza.

Zapewne — stanowisko było podrzędne i wynagrodzenie skromne. Pierwszy wzgląd jednak był dla niego obojętnym zupełnie; potrzeby zaś miał tak małe, że z niewielkiej gaży mógł odkładać na powrotną podróż. Przy pracy nie mógł się opędzić myśli, że oto pracuje na cudzej roli on, który ma jednak kawał własnej ziemi i mógłby na niej pracować z większym pożytkiem i zadowoleniem. Już nie odganiał od siebie tej myśli; przychodziła ona często, a on ją przyjmował do duszy i rozważał głęboko. I oto po kilku miesiącach rozmyślań i pracy, zebrawszy potrzebną sumkę na drogę, ruszył z powrotem, a przed godziną jego podróżny powóz odjechał właśnie z przedganku.

Odetchnął pełną piersią i powiódł ręką po czole, jakby odganiał te roje ciężkich wspomnień, co go obsiadły, jak zły sen... Spojrzał dokoła siebie: za dalekim łanem słońce już zagasło, powietrze napełniała cisza wieczorna. Stare drzewa sennie wyciągały nad nim przyjaźnie konary, niby sękaty ręce, i spoglądały nań sprzyjająco i przychylnie. Stał przy końcu owej ulicy, na skraju ogrodu, skąd odkrywał się rozległy widok na leżące nieco niżej pola: krajobraz przedstawiał płaszczyznę nieco w pośrodku wklęsłą, gdzieniegdzie pokrytą mallowniczemi wzgórzami; wklęsłość ową wzdłuż przerzynał głęboki jar, na dnie którego po kamieniach toczył się strumień.

Była jesień — i pola były okryte złocącą się ściernią, na której rozsnuwały się włókna pajęczyny; odpoczywały czarne role pod parzorane, miejscami zieleniły się oziminy. Z prawej strony było widać białe chatki, które powybiegały ze wsi, i ścianę lasu poza niemi. W lewo szła droga ze wzgórze, połyskująca pasem rzemiennym.

Nad okolicą wisiła we mgle wieczornej cisza, jakiś wczas senny i błogi odpoczynek, — jakieś ukojenie...

Stał — i patrzył. — Po tyłu błakaniach i niepokojach, — on, — niedawno zbieg i tułacz bezdomny, — nie mógł uwierzyć, że te pola, które tam leżą przed nim w wieczorne mgły spowite, — są jego, — że dla niego poczynają i rodzą, — że są ojcowizną, na której warto pracować. Słyszał — i rozumiał już teraz głos tej matki, wołającej do niego. Tak — on tu zostanie — na tych polach weźmie się szczerze i z wielkiem ukochaniem do pracy, sam wśród tych łanów plugiem brudę wyprowadzi, sam ręką własną wrzuci rodzajne ziarno w otwarte łono płodnej ziemi — do roli czarnej... sam będzie obchodził te pola i oglądał, jak mu odplaca za pracę i miłość ta ziemia plonem zbóż bujnych, —

jak nalewają się kłosa ziarnem, jak wreszcie dają ciężarne głowy pod sierp żeńca... A po dniu pracy siądzie w progu swej chaty oczekiwać letniego wieczoru, który przyjdzie, siejąc z rąk obu odpoczynek — i ciszę, — i sen... Czyż może być w życiu jaka większa i szersza rozkosz...? On, który zaznał wszelkiej rozkoszy, jaką tylko świat dać może, i znał cenę każdej, wiedział — że nie... — i czuł oto, że niema spokojniejszej i lepszej, i szlachetniejszej pracy nad pracą rolnika.

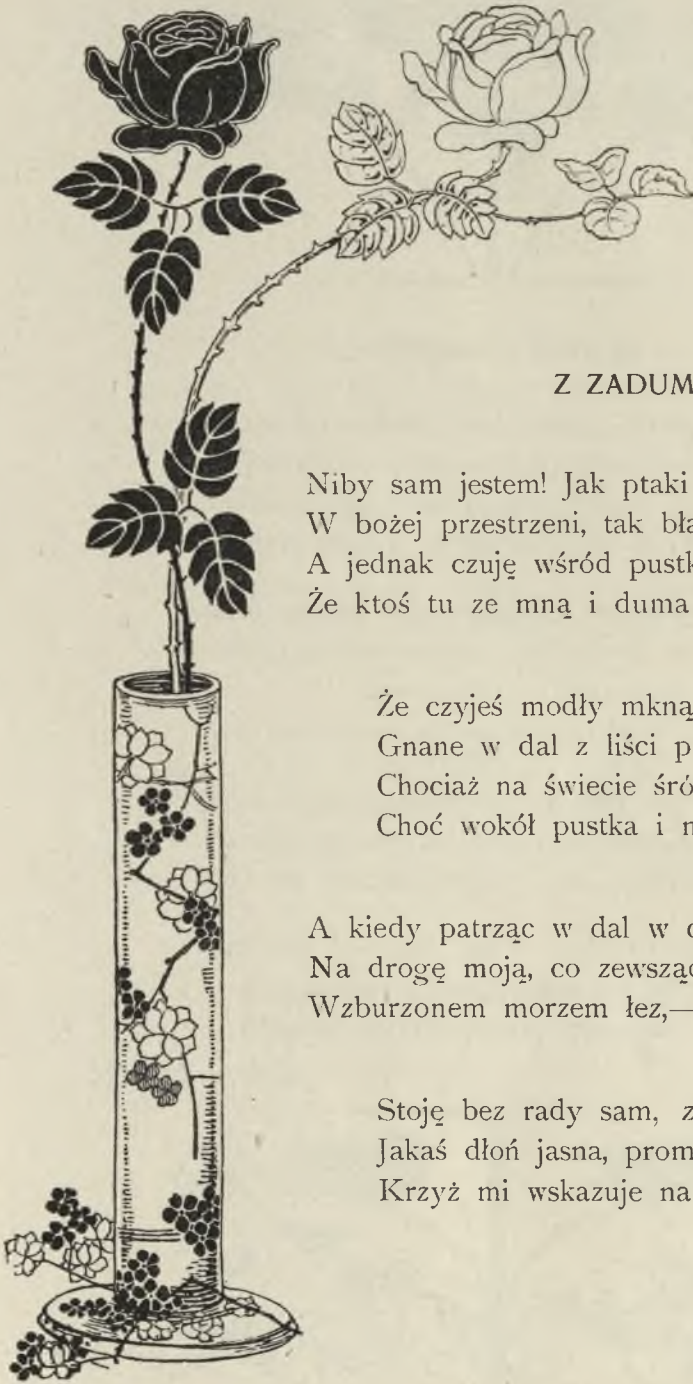
Cóż z tego, że miał tej ziemi kawał niewielki?.. Pracy i pożytku na niej dosyć, potrzeby zaś miał teraz już tak skromne i proste, że to co ma, wystarczy mu aż nadto.

I oto widział przed sobą odnowiony cel życia, widział pole uczciwej pracy i zasługi... Z tą pokrzepiającą myślą kojarzyło się jakieś poczucie głębokiej pokory, jakieś uznanie własnej niegodności... Chwila ta była rzadką w życiu człowieka chwilą przełomu i odnowienia się duchowego. — Opanowała go jakaś dziwna rzewność, jakaś dziecięca niemal wdzięczność ku tej Ręce, która z tyłu burz i wichrów przywiodła go do cichego portu. Jakieś łzy dobroczynne i słodkie przepełniły mu duszę.

Stał o parę kroków wśród brzoź i topol wiekowych wysoki krzyż pochyły, mchem obrosły, jeszcze dziada ręką wzniesiony... Przed tym świadkiem pracy uczciwej przodków bezwiednie ugięły mu się kolana, — pochylił głowę w niemem dziękczynieniu i jakby po błogosławieństwo tych omszonych ramion.

A na tle ciszy letniego wieczoru — ponad głową pochyloną pielgrzyma, — gdzieś na sennym graba wierzchołku zbudził się nagle jakiś szmer, zerwał się i przeszedł na drzewo sąsiednie, — przeleciał ulicą, — płynąc i wytrącając ze snu liście drzew, które przebudzone z przed-sennej zadumy zaszumiały pocichu: „powrócił!...”





Z ZADUMAŃ

Niby sam jestem! Jak ptaki tułacze
W bożej przestrzeni, tak błędę po świecie,
A jednak czuję wśród pustki tej przecie,
Że ktoś tu ze mną i duma i płacze;

Że czyjeś modły mkną za mną do Boga,
Gnane w dal z liści powędłych szelestem,
Chociaż na świecie śród ludzi sam jestem,
Choć wokół pustka i marzeń pożoga.

A kiedy patrząc w dal w cichej zadumie
Na drogę moją, co zewsząd zamknięta
Wzburzonem morzem leż,—zwątpień, zgryzoty,—

Stoję bez rady sam, zawsze sam w tłumie,
Jakaś dłoń jasna, promienna i święta —
Krzyż mi wskazuje na szczycie Golgoty!

Józef Ostroróg.



Z DUMAŃ CHMURNYCH

Wiosno! czyja pierś oddech twój pochłonać zdoła?
Ilu czci twych rozkoszy płomiennych świątynie?
Komu blask twój zachwytem promienieje z czoła?
W ilu sercach krew ciepłem słońca twego płynie?

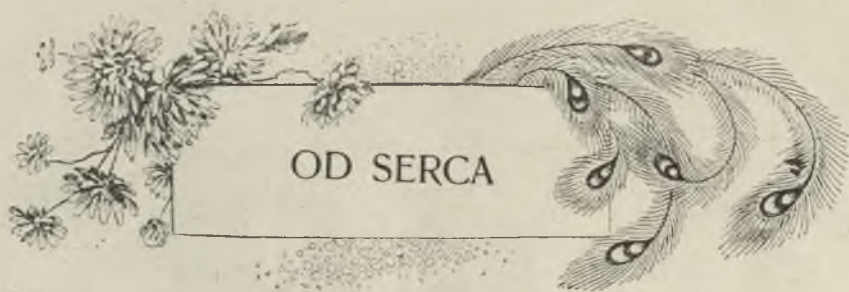
Niejeden, choć go głos twój śpiewem ptasząt woła,
Choć swych woni pieszczotę niesiesz mu w daninie,
Przez twe łąny kwieciste i zielone siola
Pędząc w dał, wzrokiem nieraz twe czary ominie.

Młodości! kto z twych skarbów niezmiernych korzysta?
Kto je chowa w swej duszy na lat szereg długi?
Komu serce odświeża woń tchnień twoich czysta?

Wtedy tylko jest drogiem twych uniesień kwiecie,
Gdy zwiednie, gdy jesienne zdepczą je szarugi,
Gdy go próżno szukamy po wyiębłym świecie.

Antoni Pilecki.





Cześć władcom w majestacie,
Pasterzom w bożej szacie,
Pieśniom i ciszy cześć!
Cześć mędrcom i prostakom,
Bogaczom i biedakom,
Gdy miłość w nich to treść!
Gdy wierzeń, cnót, przekonań,
Śród szczęścia, walk, łez, konań —
Umieją sztandar nieść!..

Cześć także wzniosłym duszom
Ogłędnym w sądzie zbrodni;
Bo gdzież jest sprawiedliwość,
Gdy ludzkość zdala od niej?

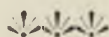
Niech dźwięczy dobra wieść
Wskroś cieśni, wskroś ogromu!
Porywom szczytnym cześć!
Przekleństwo zaś — nikomu...

Wacław Pomian.



PRZERWANY

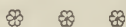
ŚPIEW



Nad świat leci pieśń wrząca,
Nad świat leci śpiew młody,
Upojeniem drży:
Dolatuje do słońca,
O ból nie dba, zawody,
O zastygłe lzy...
I wciąż — w górę — bez końca —



Bije z piersi młodzieńczej:
W proch zgniliznę rozwała,
Mierząc w górne mgły,—
Laurem świeżą myśl wieńczy,
Nowe światła zapala,
Sypiąc wokół skry, —
Rozwichrzony, szaleńczy!...



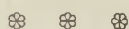
Poleciał śpiew, poleciał w świat,
Melodyą drżał, płynącą w dal,
I myśli snuł promienny ślad
I—tracił lot wśród życia fal.

Powrócił śpiew z upływem lat:
Nie pieśni trza snąć w życia grze!—
Więc w serce wpadł, skąd leciał w świat,
I zmienił się w dręczącą lżę...



I mówicie, że najdroższym
Skarbem naszym—życie:
Kto je posiadał, ten szczęśliwy, —
Zawsze tak mówicie...

Więc zabierzcie skarb odemnie,
To odpocznę wreszcie:
Wzamian spokój mi oddajcie,
A życie — zabierzcie!



Tak, miał blaski kryształowe
Pałac mój, promienny gmach,
Lecz, nim przeszedł dni połowę, —
Stopił się w serdecznych łzach.

To też wloką się sieroce,
W smutku snute, niby w mgle:
W niepokoju tęskne noce
I w tęsknocie długie dni...



A nie tak spala to słońce lipcowe
Schyloną w znoju ponad sierpem głowę,
Jak—kiedy silnie twem sercem zamiota—
Wypali duszę tęsknota.

Ogarniesz dłonią uznojone czoło
I znój piosenką rozproszysz wesola, —
Lecz gdy zaśpiewasz z tęsknotą pospołu,
Żal tryśnie z duszy — popiołu...

J. Star. Pytliński.





PRZECHADZKA

Ulicą sunie wstęga narodu
Hen — w Ujazdowskie aleje;
Czerwcowe słońce patrzy z zachodu,
Rumieni tłumy i grzeje.

Obok pojazdy na szynach z gumy
W szalonym pędzie rwą konie —
Gapią się tłumy i gwarzą tłumy
I w grzecznym gną się ukłonie.

A wszyscy strojni w jasne kolory,
Pył jeszcze bardziej je bieli,
I w wesołości strojni pozory —
Ot, jak przy każdej niedzieli.

Wytarty uśmiech zdoła im usta,
Oko śle blaski księżycy,
A z ust paruje rozmowa pusta
I tłum rozbawia, zachwyca.

I gwarnie idą starsi i młodzież,
Słońce rozgrzewa im tętna;
A na nich świeci odświętna odzież
I twarz się świeci odświętna.

A choć leciutkie na sobie szaty
I tuszę mają na sobie,
Pamięć promiennych ułud z przed laty
Świeci ku ojców ozdobie.

Młódź ma na sobie dobre uczynki —
Przy pannach sunie, jak cienie,
Na rękach niesie dam pelerynki,
A w piersiach przesył, znużenie.

Panny figlarnie oczkiem się garną
Do postawnego causeur'a,
A mamy idą ochoczo, gwarno,
Choć jeszcze upał doskwiera.

I w ciepłe słońca, w czerwieni słońca
Stubarwna pławi się wstęga, —
Gdy korpus ginie w dali bez końca,
Czoło Łazienek już sięga.

A słońce pilnie patrzy z zachodu,
Rumieni tłumy i grzeje —
Kurzawę wzbija wstęga narodu
I ból, i szal, i nadzieję.

II.

Tłum niby wiosny czarami dyszy,
Leniwo skręca swe zwoje,
I nic nie czuje, i nic nie słyszy —
Znikły dlań ból, niepokoje.....

A, ot, samotnie idzie dziewica,
Niby unoszą ją tłumy,
A taka blada, jak sierp księżycy,
I taka pełna zadumy. —

W koło niej uśmiech panien się żarzy,
Czasami załśni blask w oku,
Nie rozpogadza jednak jej twarzy,
W zadumie idzie na boku.

I choć przechodzić z lekka potraci,
Eh, dziewczę tego nie czuje,
Coś ważniejszego myśli jej maci
I łonem szybko faluje...

Coś ważniejszego w mózg jej się wwierca,
I myśl, i czucie pochłania,
Idzie wsłuchana w głos swego serca,
Idzie do celu kochania.

Idzie, gdzie rajskie blaski roztoczy
Promiennem okiem kochanek,
Ach, idzie spojrzeć w cudniejsze oczy,
Niż barwnej wiosny poranek.

I niech się potem świat już zamroczy,
Niech cały zniknie z rąk losu —
Ach, byle spojrzeć w promienne oczy,
Usłyszeć dźwięk jego głosu!

On ją miłością czystą, jak dziecię,
Kocha, z ust słowa mu płyną, —
Kocha nad wszystkie skarby na świecie,
Kocha ją jedną—jedyną.

I mówił: bez niej świat nie jest światem....
On zginie w bólu otchłani...
On dla niej mężem chce zostać, bratem...
Ach, wszystkim chce zostać dla niej!

— Precz uprzedzenia starego świata.
Raz złammy rdzawe okowy,
Miłości łańcuch dusze nam splata,
Olśniewa blaskiem świat nowy.

— Tyś, skarbie, młoda, i jam też młody,
Ach świat przed nami miłości.
Płomiennych uczuć dajmyż dowody
W zaraniu naszej młodości.

I dnie nam spłyną srebrzystą rzeką,
Na falach szczęścia popłyną...
Hejże w świat wielki, hej tam daleko...
Ach, z tobą jedną — jedyną! —

Lecz dziewczę idzie w myśli rozterce,
I pełne idzie zadumy,
Choć pod bijące gwałtownie serce
Ciagle trącają ją tłumy.

Niby czarami wiosny tłum dyszy,
Nerwowo skręca swe zwoje,
I nic nie widzi i nic nie słyszy
Eh, znikły ból, niepokoje...

A słońce krwawo patrzy z zachodu,
Patrzy i słucha, i grzeje,
Kurzawę wzbija wstęga narodu
I ból, i szal, i nadzieję.

III.

Na gumach pędzi młodzież junacza,
Z boku potokiem tłum płynie—
Tylko się dziewczę jakoś zatacza,
W oczach się mieni dziewczynie.

W oczach się mieni, w głowie się mąci
Na myśl o takiej ohydzie,—
A gdy przechodzień zlekka potrąci,
Dziewczę nie czuje, lecz idzie.

Nagle stanęła, jak w ziemię wryta,
Przed bramą domu dużego,
Choć rwą pojazdy konie z kopyta,
A tłumy szybciej gdzieś biegną.

On tutaj mieszka, tu na parterze,
Tu wzywa drogi, jedyny...
I spojrzeć w okno chętna ją bierze,
Wszak to uczynek bez winy.

I spojrzy dziewczę w okno ukradkiem —
Roleta okno zasłania,
By oko ludzkie nie było świadkiem
Ich samotnego spotkania.

I spuści oko, spojrzy raz jeszcze,
Czy uszanuje ją sama...?
A w całym ciele uczuwa dreszcze,
I błędnie spojrzy znów w bramę.

A słońce patrzy, a słońce grzeje
Ostatnim blaskiem promyka,—
A dziewczę tłumy w sercu zawieje...
Zadrży i w bramie wnet znika.

I w jakiejś dali cichną turkoty,
Nie idą tłumy już gwarnie,—
I cichną smutki, cichną tęsknoty,
Młodości cichną męczarnie.

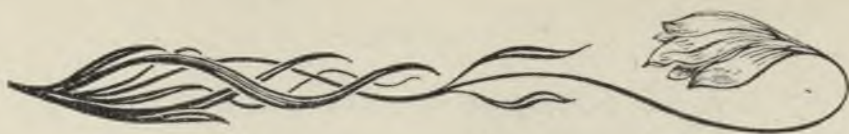
A tam pojazdy na szynach z gumy
W szalonym pędzie rwą konie,
Gapią się tłumy i gwarzą tłumy
I w grzecznym gną się ukłonie.

Tłum niby wiosny czarami dyszy,
Nerwowo skręca swe zwoje,
I nic nie czuje i nic nie słyszy,
Znikły dlań ból, niepokoje....

A słońce krwawi chmury zachodu,
Nie spojrzysz już, nie zagrzeje —
Kurzawę wzbija wstęga narodu
I ból, i szal, i nadzieję.

Wacław Raczyński.





NA PRZEŁOMIE

A gdy z młodością nadchodzi rozłaka,
Gdy z drzewa wiosny opadają kwiaty,
Duch, jak kometa, w bezmiarach się błąka,
Pragnie raz jeszcze rój marzeń skrzydlaty
Potraćić skrzydłem, złamanem przedwcześnie —
Ku gwiazdom wznieść się — na jawie lub we śnie.

Więc rozgwieżdżoną, cichą, jasną nocą,
Skapaną w blaskach srebrzystych księżyca,
Leci, gdzie nocy pochodnie migocą,
Jak brylantowa leci błyskawica,
Której szlak znaczy złocista orbita,
A nieskończoność swem tchnieniem ją wita.

Ach, z takich wyżyn spojrzawszy na ziemię,
Widzisz, że ona jest, jak czarna truna,
Co — przystrojona w kir — od wieków drzemie
I ożywczego nie pragnie pioruna,
Któryby błysnął płomieniem czerwonym,
Spadł — i ostatni raz wstrząsnął jej łonem.

Prometeusza ród wygaś przed wieki,
Iskry wszechbytu nie wydarł Zeusowi,
Więc przed ludzkością świt jemu daleki,
A półbogowie nie przychodzą nowi,
Coby na Olimp zwrócili dłoń hardą,
Aby zwyciężyć, albo — zabić wzgardą!

Prometeusze, Herakle, tytany!
Przeszła, — nie wróci już epoka wasza, —
Rozbił się puhar, po brzegi nalany
Nektarem bogów. Pełna mętów czasu
Spragnionych tłumów dzisiaj nie napoi,
Co u przeszłości cisną się podwoi!...

Selim.



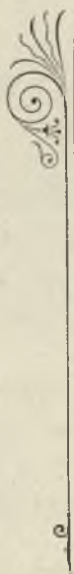
PAMIĘTAM.

Pamiętam jeden cudny śpiew!
Dotąd mi jeszcze w sercu brzmi
I z czoła mego spędza gniew,
A łza tęsknoty w oku lśni.

 Nie pomnę, ile temu lat —
 Lata jak chwile w wieczór mkną...
 Ach, jasnym wtedy był mi świat,
 Opromieniony pieśnią twą!...

Lecz krótko, krótko trwał ten raj,
I już nie wróci nigdy, — nie!
Ciebie pochłonał obcy kraj,
Burze ku ziemi zgięły mnie.

Skibińska.





Rys. K. Purzycki.

W SŁOŃCU

I.

Na moje serce połóż dłoń,
 Na usta połóż różę!
 Dziś będę pił ich dziwną woń,
 Patrząc w twe oczy duże.

Mój ulubiony zanuć śpiew —
 Tak go nuciłaś pięknie!..
 Dziś może w żyłach stanie krew,
 Dziś może serce pęknie!..

Więc chcę go słyszeć jeszcze raz
 W tym blasku i w tej woni..
 Śpiesz się! — po kwiatach idzie czas
 I śmierć już kosą dzwoni!..

II.

Ty mi o śmierci mów, a ja tak zasnę,
Jak biała lilia zasypia na fali,
I przyjdą ku mnie aniołowie biali,
Na pierś mi skrzydła swe położą jasne,
Polożą jasne swe skrzydła z opali
I jakąś senną jasnością i tęczą
Iście królewsko moję skroń uwieńczą.

Przybiegną ku mnie wszystkie wiatry polne,
Przyplyną ku mnie białych chmurek roje —
Patrzyć w tę duszę i w to serce moje,
Już teraz kochać nikogo niezdolne,
A tak złamane tem życiem na dwoje,
Jak owa brzoza, co za moją chatą
Leży strzaskana gromem w zeszłe lato.



III.

Oto się blaskiem wielkim rozlało
Słoneczne morze,
Tak się rozlało skrami złotymi —
I stoi wielkie jasnością białą
Na naszym polu i w naszym borze,
Na caluteńkiej tak stoi ziemi —
Słoneczne morze.

Poszła w tem morzu bezbrzeżnem tonąć
Dusza tęskniąca,
Poszła na blasków ognistych krocie
W ogniu się kąpać, i w ogniu płonać,
A stoi cicha, a stoi drżąca,
Cała w purpurze i cała w złocie—
Dusza tęskniąca.

A po co było tobie w te blaski
Iść, smętna duszo?
Po co ci było iść w tę słoneczność?
Twe łzy wypiją spalone piaski,
Twój mózg i serce ognie wysuszą—
I taką będziesz przez całą wieczność,
Stęskniona duszo!

Edward Słoński.





ZA BIESIADNYM STOŁEM

OR-OŹOWI NA PAMIĄTKĘ



Dajcie wina — chcę pić!
Dziwny w łonie mam żar,
Dziwne w gardle mem czuję pragnienie!..
Pjani będziem tak śnić,
Z kryształowych tych czar
Sącząc kroplę po kropli — natchnienie.

Póki młodość w nas wre,
Póki kipi w nas żar —
Zanim chwile uniesień przemina,
Czy kto nie chce — czy chce!
Do tych kruż, do tych czar
Niech się leje, niech lśni złote wino!

Niech się leje, niech lśni! —
Wszystko minie, jak sen,
I śmierć czarna zostanie na wety.
Życie nasze się tli,
Jak z podrzędnych gdzieś scen
Przeniesione na słońce kinkiety.

Wszędy krwawy swój chrzest
Znaczy rozpacz i ból,
Wszędy fałsz i udanie się leże..
Prawie każdy z nas jest,
Jak blaszany ów król,
Papierowe kruszący oręże..



Piszczą skrzypki, rznie bas,
Słysząc skrzyp, słysząc szum
Perkalowej podartej kurtyny...
Hej, aktorzy, już czas!
Niecierpliwi się tłum,
Synom bogów gotuje wawrzyny...

I zaczyna się gra...
Przynosimy na targ
Całą nędzę swojego sumienia.
Kto da więcej — niech da —
My sprzedamy bez skarg
Wszystkie nasze kłamane natchnienia.

Piszczą skrzypki, rznie bas,
Klaszcząc śmieje się widz,
Sypie srebro i miedź w nasze worki,
Czas już skończyć, ach, czas!
Pot już leje się z lic
Umazanej bielidłem aktorki.

To jest życie! Chcę pić!
Dziwny w łonie mam żar,
Dziwne w gardle mem czuję pragnienie!
Wolę pjany tak śnić,
Z kryształowych tych czar
Śącząc kroplę po kropli — natchnienie.

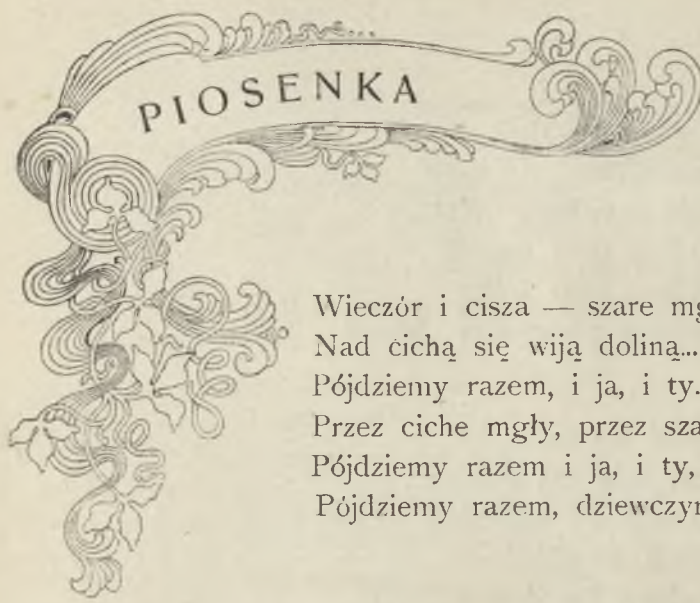
Wkrótce zbudzi się świt,
Szał rozwieje się ten,
Gdy nas wino do snu ukołysze, —
W niebyt zmieni się byt,
Będziem śnili swój sen,
Zasłuchani w ten bezruch i ciszę.

W piersi urwie się dech,
W żyłach wstrzyma się krew,
Białe dłonie nam łona oplota, —
Zmilknie pjany nasz śmiech,
Zmilknie pjany nasz śpiew
Przed jasnością promienną i złotą.

Dziwny zjawi się świat,
Dziwny przejmie nas dreszcz...
Śród tych sennych widziadeł i czarów —
Będziem śnili, że spadł
Na nas kwietny ów deszcz,
Co się sypał na głowy cesarów.

Edward Słoński.





PIOSENKA

Wieczór i cisza — szare mgły
Nad cichą się wiją doliną..
Pójdziemy razem, i ja, i ty..
Przez ciche mgły, przez szare mgły
Pójdziemy razem i ja, i ty,
Pójdziemy razem, dziewczyno!..

Pójdziem, gdzie jasną szczęścia nić
Nieznane wróżki winą,
Pójdziemy kochać, marzyć, śnić,
Po jasną szczęścia pójdziem nić,
Po szczęście pójdziem, dziewczyno!

Nie wiem, jak długo będziemy szli —
Może i lata przeminą,
Jednak dojdziemy i ja i ty..
Przez ciche mgły, przez szare mgły
Pójdziemy razem, i ja, i ty,
Pójdziemy razem, dziewczyno..

Niech cię nie straszy mrok i cień —
I one także zginą..
Po nocy zawsze wstaje dzień —
Niech cię nie straszy mrok i cień,
Niech cię nie straszy, dziewczyno..



O, patrz! już ranek krzesze skry
I tonie blasków płyną...
Idziemy w słońcu i ja, i ty
Przez ciche mgły, przez złote mgły,
Idziemy w słońcu i ja i ty,
Idziemy w słońcu, dziewczyno!

Maryan Tatarkiewicz.



Rys. Okoniński.

Z POGADANEK

ASTRONOMICZNYCH



Słyszaleś, Herostratesie, co się stało?

— Nie! nic nie wiem; zakopałem się w robocie!

— Tembardziej wiedzieć powinieneś, bo badasz ciał niebieskich biegi, a zdarzenie, o którym mówię, w tych właśnie strefach miało miejsce!

— Niemożliwe! przecież mi jeszcze Zeus wszechwładny nie odebrał wzroku! Nic nie widziałem!

— Na Zeusa, prawdę mówię! Wystaw sobie, że ziemia wysadziła w powietrze mały odłam swój i...

— Bajki! Ezop lepszych nie stworzył...

— Przekonasz się sam o tem, gdy Helios zapadnie do morza; kawałek ów bowiem zawisł w przestworzach niebiańskich i jakby na urągowisko ziemi, która go odepchnęła, zajaśniał świętem światłem...

— Szkoda, że nie masz pokarmu, bo dobrą byłbyś mamką dla dzieci. Błaznujesz, jak Faun, i tylko czas marnujesz po próżnicy!

— Na Palladę, przedwieczną prawdę i mądrość — nie kłamie!.. Zresztą, przekona nas o tem noc ciemna!.. Przyjdę do Ciebie wieczorem!

.....

Noc zapadła i księżyc błądy w lisiej czapce biegł sobie powoli po przestworzach niebiańskich, odbywając swą zwykłą wędrówkę koło ziemi. Filomenes z Herostratesem szli cicho po pustych ulicach Aten.

— Czy widzisz, Herostratesie, tę białą kulę w obłokach?

— Toć to księżyc!..

— Jest to właśnie ów odłam ziemi. Znalazłem o tem wiadomość w starym pergaminie...



Wiesz co, że podobno księżyc urągał ziemi i szydził z niej za krzywdę swoją...

— No i...?

— I ziemia, wstydząc się nieuczciwości swojej, wydała z siebie mgłę gęstą i owionęła tą mgłą księżyc. Jest to właśnie to, co lud prosty zowie lisią czapką.

— Dziwnie!.. I tyś to wyczytał w pergaminie?

— Tak, Herostratesie, zaraz ci pokażę!...

Rozwinął zwój i pokazał Herostratesowi, a ten zdziwiony odczytywał z trudnością wybladłe zgłoski...

— A więc to się stało z dopuszczenia bogów?...

Gdzie tam!... Ktoś czy coś wypchnęło odłamek ziemi w powietrze i otuliło go mgłą, by go dobrze nie widzieć i by ów odłamek nie widział i nie słyszał, co się dzieje na ziemi!... Zeus podobno kazał Heliosowi palić ziemię, Neptunowi — zalewać ją, ażeby ściągnęła z przestworów nieodrodną część swoją...

Ale ziemia, jak stała, tak stoi, a księżyc buja w obłokach.

— Są, zaiste, Filomenesie, rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło!..

Stanisław Urbanowski.





Śmierć starca. Ponuro oczy zatopiwszy w rozsrebrzoną pełnię ruchu migotliwego, nieuchwytnego, szmerów, przelotów dziwnych, starzec siedział zatopiony w głębokim fotelu. Orli nos stalowym przegubem zwisał nad srebrnymi wąsami... Wydawał się nieco demonicznym...

— Zabłąkałem się, jak mara, pośród tych... tych... A może to tylko duma... duma... odgradza mnie od nich... lub może to starczy obłęd...? Cha... dlaczegoż jestem tak daleko...?

Zatopił się w książkach... Stalowa jego inteligencya rozcinała książkę szybko... W lot wyławiał myśl potrzebną sobie... osadzał w brylantowych pałacach inteligencyi mocno... mocno...

Oczy jego rozwidniły się blaskiem ogromnym... Wszedł... zda się... w tę noc jasną, rozświetloną, tajemniczą... wszedł oczyma duszy,— drzewa ogromne parku, koronami szemrzące pochwycił, żywością swego ducha, inteligencyą potężną, odczuwającą bezmiarem wycucia naturę i jej ogromne przejawy, które rozbite na pył naukowy dają tylko lichą wiedzę odrobinę, tą wyobraźnią swoją ogromną wciskał się w potężne państwa natury i nabrzmiewał jej życiem, nie roślinnem i zwierzęcem, ale tem życiem, co za roślinnem i zwierzęcem się kryje, tą treścią bujną, wielką, tajemniczą, wybranym dostępną, treścią, która symbole wystawiając nikłe, często pozornie wstętne, majaceje dziwem swego życia, potężniejszego od wałących się gór, od huraganów...

To mocne słowiańsko-pogańskie odczucie natury, które miał w sobie od wieków przez pryzmat dusz przodków, dawało mu dziwną wiedzę, moc dziwną... Rozcinał te pyłki tajemnicy, makaty wiedzy i szedł stopą zwyciężką przez nie, ścieląc sobie pod stopy te dywany koronki — i nie ciesząc się nawet zwycięstwem... Jakaś surowa patryarchalność zeń wiała i rozszerzała jaźń jego na te chaty, cicho w nocy drzemiące, na te dusze proste, które umiały w swym naiwnym wzlocie opierać się o coś mocniejszego, tulić się, jak krzewy do dębów...



Rys. Alfons Borkowski

Pograżył się w marzeniach, w pół śnie... Jakieś sine ogromy, jakaś dal chorągwniana, dziwów, orlich krzyków pełna, gwaru, który szedł z wciąż rosnącą siłą naprzód i naprzód — stanęły przed nim...

Tak... nie im... nie im... skarłałym trzymać ten ciężar... nie im... A duchy nie wrócą... nie... a może...?

Padł na kolana.

Boże ojców, zlituj się nad nimi, zlituj się!.. Boże, Ojczyce Wszechmogący... z tych nurtów, pošlij im moc odkupienia i odrodzenia...

Noc wrzała dzwonieniem, wirami, westchnieniami... Zdawało się, że kurhany ogromne drzemią w księżycu i łopocą proporce, łuny biją... Srebrne skrzydła płyną i płyną... Mogiły... mogiły... wszędzie mogiły... Noc przechodziła... gdzieś w dali kurów granie obwieściło zorzę, która wstawała krwawa, majestatyczna i oblewała różanemi protuberancyami pół nieba i biła skrzydłami czerwonymi o siny strop nieba, i szła w bezmiary Wszechświata silna kolorami i siłą niewidzialną nastroju, i rzucała purpurę na dach dworu, stawy, na chaty i drzewa... I rozczzerwieniona przestrzeń zgasła nagle i stężała nagle w stalowe, perłowe, srebrne tony, które wznagały się, splatały w potop barw, gwarów, które szły z pól, siół... i nurzały się w swych nieugiętych akordach, spadały tonami harmonii potężnej, upiętej w jasną zieleń, tonie szafiru, w życie, które wstawało potężne po śnie i rozpierało swe członki brutalnie ku stropom i grzechotało napastniczo i silnie...

Wielkie oczy starca były szkliste... zamarły, zawarły się nazawsze... Serce mu pękło w nocnych dumaniach...

Wertor.



Samobójca.

Tu niema prawdy, niema! Niema jej w naturze, w ludziach! Przez naukę moję przewiewają takie huragany, że pęka... Ooo... i nie rozwidnia się, nie!... Może, jeden ten, który zbawił ludzkość, On może mi rozwidni... Ale nie... nie w Jego snadź mocy jestem, nie w Jego mocy... Szatan, może już dawno targa moję biedną głowę i wie-dzie ją ku zgubie... Haa... jaka cisza... jaka to noc gwiazdna, bezlitośna... jak ulatują w dal gwiazdy... gwiazdy gdzieś płyną... w nieskończoność...

Boże!.. tu ziemia i byt ten krwawy, straszny... mieszkanie w ciele, w włóknach, w trzewiach... mieszkanie ducha...

Haa... gdybym mógł zapomnieć... to mię zalewa, zalewa ta myśl i plugawi, uczucie ziębi, zabija, gubi, gubi wszystko. Rozprężenie woli, zanik uczucia... wszystko zwiłane... I u góry światła niema, niema...

Ze łkaniem rzucił się na murawę...

Noc widna, przeraźliwie gwiazd ogromem oszklona, rozmnożona w jakiś poryw orkanowy, osłepiający brylantowym lotem, modrą przestrzenią, sinemi wichurami, lotem srebrno sinych ogromów, majaczeń pełna, rozwidnień, drzeń, pień, akordów przedziwnej muzyki, złożonej z grania orbit, z kruszenia się światów, z wichrów samych i huraganów, lotów dziwnych, straszliwych, dzwoniących, jakby na alarm, pod niebezpieczeństwem rozpędu miażdżącego siebie i wszystko dokoła, z sino-srebrnego straszliwego chaosu, w którym moc utopiona drżała niemocą, padała na ziemię cicho i łkała strumieniami i szmerami lasów—i rozmodlona w powietrzu, u stóp gwiazd olbrzymich leciała zapełniać swoje przestrzenie i swoje moce, berła Plutonowe zabierać i iść w Gehennę—w te wiosenne noce, których szczęścia córą była...

Blady szeptał:

Niema, niema ratunku dla mnie... Jednego choć błysku, jednego...

Noc pierzchała, uciekała z jakimś złodziejskim pośpiechem, zabierała swoje suknie czarno-sine, zrywała gwiazdne ozdoby i, goniona srebrnymi smugami światła, kryła się jeszcze po jarach, lasach, ale i tu dosiężona złotemi strzałami w końcu pierzchła...

Dzień stanął widny, sam z siebie powstały, chłodem nocy jeszcze owionięty, rozpędzający resztki nocnych upiorów.

Dzień wstał i słońce wschodzące oświeciło trupa z szyderczą demoniczną twarzą, z przestrzelonem sercem...

Wertor.





NAD JEZIOREM



Rys. Betley.

Jest jedno ciche w ostępach jezioro,
Barwami lśniące, niby pióro pawie,
We mchy oprawne. W niem coranną porą,
W przejrzystą głębię wpatrzone ciekawie,
W mgłach dziwożonki białe chusty piora,
I po wilgotnej rozwłócząc je trawie,
Nagle pieśń jakąś rzucą na topiele,
Od której fala drży, i mrą libele —

Pieśń dziwnie smutną... Jak cmentarny dzwonek,
Po jarach echa jej posępne jęczą...
Pieśń opętanych serc, pieśń dziwożonek,
Z wilgoci ludzkich łez owianą tęczą,
Zeszyłych na ziemię w parny letni dzionek,
Sny ludzkie pętać i jak w nić pajęczą
Osnuwać myśli, co się słów jej chwycą,
Odwiecznym czarem swoim i tęsknicą.

Znam ją, a ptacy nad jeziorem leśni
Mnie zasię znają. Często ranną dobą,
W nadbrzeżnych olchach słucham onej pieśni,
I własną duszy chłonąc ją żalobą,
Wiem, że tak brzmiała mi już kiedyś, wcześniej,
Myśl moję lotną rwąc gdzieś wślad za sobą,
Zanim z łąk leśnych i od wód zwierciadła
W pierś moją weszła i w duszę zapadła!

Odtąd pod dźwięczną onej pieśni mocą
Po świecie chodzę i żyję w jej echu,
Słucham jej rankiem, słucham jasną nocą,
W strumieni plusku i lasów oddechu...
A gdyby znikła, nie mam żyć już po co...
I tak, w tym śpiewnym pogrążona grzechu,
Myśli na srebrną słów rozwiewam pianę,
Na skrzydła widzów sypiąc je harfiane.

Maryla Wolska.





Z CYKLU: «GRÓD SYRENI»

WIECZÓR



party o żelazną mostu balustradę,
Który w swoich wiązaniach wstrząsany dygoce,
Zasłuchany w piekielną turkotu kaskadę,
Lubię spędzać na Wiśle wieczory i noc...

Lubię patrzeć, schylony nad czarną głębiną,
W której, niby ogromnych organów piszczele,
Połyskują w gwiaździstym przyrody kościele
Linii latarń płonących odbicia — i giną.

Wzdłuż śpiącego nad Wisłą ciemnego bulwaru,
Wyciągnięty, jak struna, płomiennych gwiazd szereg
W czarnej toni zapala fontanny iskierek,
Z których każda przybiera kształt ognia filaru.



Wyciągnięty od Solca światełek tłum długi
W czarnej głębi zatapia swych widm kolumnadę;
Z oddalenia podziwiam gwiazd świetnych plejadę;
Mocnych odbić we wodzie złociste lśnią smugi.

Jak Chrobrego w dniewprowej fali złote słupy,
W czarnej szybie wiślanej świetlane kolumny
Złocistego pałacu tworzą portyk dumny,
Kolosalny, ogromny sen ziemskiej skorupy!

A za młynem parowym ich sznur się urywa,
Obląkuje wzrok ciemna już dal nieprzejrzana,
Jak olbrzymi teleskop czarnego tytana,
Przez który wieczność widać... Most Wisła

[podmywa...



Czarna woda podmywa kamienne filary,
Czasem słyhać w ciemności rytmiczne jej pluski,
Zabieleje bałwanu grzbiet srebrzystołuski,
Jak z nalanej po brzegi musującej czary.

W miliardowych gwiazd świetle powietrznej otchłani
Hebanowa, ogromna płynna tafla leży,
Jak podstawa ciemnego wszechświata bezbrzeży,
Gdzie są wszyscy na wieczne cierpienie skazani.

Ciemna krata żelazna i filar kamienny
Cień rzucają na Wisły czarne, śpiące tonie,
W niezmiernych obszarach lśniąc, miliard gwiazd plonie,
Jak przyrody kościoła kandelabr promienny.

W chłodnych wiatru podmuchach, ciągnących od Wisły,
Kinkietowych latarni gazowe płomienie,
Jak pijane, się chwieją... A blaski i cienie
Na powierzchni białawych grzyw pian się rozprysły.

W ciemnej nocy lśni w gazu czerwonym pyłe
Tunel mostu... Żelazne kratowane przesło
Pod kaskadą turkotu, jak liść, się zatrzęsło,
Żeby znowu febrycznie dygotać za chwilę...

Krata mostu cień rzuca na chodnik drewniany,
Wewnątrz latarni gazowe płomienie się chwieją,
A po bruku żelaznym, żelazną aleją
Jadą wozy ładowne lub znów dla odmiany

Ciężkie duże platformy łańcuchem zabrzęczą,
Zaturkocą masywne wagony browarów,
Budy frachtów żydowskich, snąc pełne towarów,
Płótnem kryte, pękate pałaków obręczą...

Omnibusów, tramwajów, karet lśniące pudła,
Huczą, dudnią po szynach, nieznośnie turkocą,
Pędzi koni w zaprzęgach stadnina wychudła,
A latarnie dorożek szybami migocą...

Fioletowe, niebieskie, czerwone światełka
I cyklopów tramwajów kolorowe oczy...
Kalejdoskop wieczoru różnobarwne szkiełka
W mostu ciemnym tunelu, jak piękny sen, toczy...

Kół turkot, hałas głosów piekielnie ogłusza,
Przekleństwa dorożkarzy, woźniców okrzyki
Tworzą chaos potworny, galimatyas dziki...
Wirem życia brutalnym porwana ma dusza

Wypoczywa po bólu i myślenia męce,
W obszar nieba gwiazdzisty, jak w sen, się pogrąża,
To za gwarem i zgiełkiem na moście znów zdąża,
A żelazna baryera ochładza mi ręce.

Patrzę w ciemność daleką, gdzie światła się kończą,
Zkąd Wisła toczy czarne szumiące swe wody,
Wiatr czołu płonącemu nie skąpi ochłody,
Młodej piersi gorącej, okrytej opończą.

A kandelabr promienny przyrody kościoła
Miliardami płomyków gwiazd w mroku się żarzy,
I gorące łzy czuję płynące po twarzy,
Z niezmiernych otchłani głos żaden nie woła.

Ciemny namiot wieczoru, nad głową rozpięty,
Połyskuje gwiazdami... Głęb czarna podemną,
Zdwajająca w swem lustrze wszechświata toń ciemną,
A naprzeciw mrok czarny osadza swe męty...

Nieprzejrzana dal ciemna ogromem przygnębia,
Tajemniczość rozbudza tęsknicę nieznaną,
Od pól pustych odwracam twarz łzami zalaną,
Dusza, nakształt trwożnego, czarnego gołębia,

Przerażona ciemności beznadziejnych grozą,
W paszczę sfinksa wieczności zbłąkana ucieka
Do błyszczących dowodów bytności człowieka,
Żeby w zgiełku na moście znów stać się mimożą.

Chwiejnie płoną gazowych latarni kinkiety,
Za podwójną żelazną, kolosalną kratą
Widać świateł Warszawy plejadę bogatą,
Po chodniku przechodniów mkną czarne sylwety.....

Robotnicy spieszący z Warszawy na Pragę,
Młode szwaczki z pudłami idące z roboty,
Których jeszcze nie porwał użycia wir złoty,
Które z głosem krwi walczyć znajdują odwagę.

Wyrobnicy, żołnierze, posłańcy, tragarze,
Z koszykami przekupki, studenci, sztubacy,
Robotnicy, spieszący odpocząć po pracy,
Stali Pragi mieszkańcy, by zgubić się w gwarze

Usianego światłami Warszawy Molocha,
Lśniące miasta Syreny, wabiące ich zdala,
Które zdwaja w swej głębi Wisły czarna fala,
Które cierpi, oddycha, szaleje i kocha....

W ciemnych, chłodnych kryształach powietrznej otchłani,
Gdzie swój ogrom pościera błyszcząca Warszawa,
Przybrudzona ciemnością lśni mgła czerwonawa,
Rozżarzonych gwiazd perły zwieszają się na niej....

Pożar buchającego krwią lawy wulkanu
Rzuca lunę w bezdenne milczące przestworza,
W niezmiernych obszarach gazowa lśni zorza,
Krwawy opar niezdrowy stolicy limanu.

Z ciemnych murów stołecznych rozdartego łona
Lasu latarń gazowych krwi lawa wybucha,
Ale nie są to krwawe płomienie słońc ducha,
Ale nie jest żar krwawy serc młodych miliona.

To są nędzy trzęsawisk niezdrowe wyziewy,
Fotosfera ludzkiego mrowiska zatruta,
Żary, jakie wydycha z płuc piekielna huta
Grodu, w którym turkotu syrenie brzmią śpiewy...

Na czarnej szybie Wisły, szeroko rozlanej,
Widać maszty berlinek... Ich czarne kadłuby
Na czarne śpiące tonie rzucają cień gruby...
Świecą szybek od kajut przezrocze ekrany....

Dalej widać na Wiśle znów czarne gabary—
Oświetlony pawilon wioślarskiej przystani...
Opasani wieńcami gwiazd czarni tytani
Laokona Warszawy układli na mary....

Światelkami usiane ciemne miasta mury
Między obu mostami na brzegu się piętczą,
Łuna gazu czerwienią lśni coraz gorętszą,
Obrzucając swym blaskiem katafalk ponury

Spiętrzonego nad Wisłą Syreniego grodu,
Gdzie światła gazowego promienie żółtawe
Zalewają masami szumiącą Warszawę,
Jak lampionów ćma, szpaler ciemnego ogrodu....

Ciemny namiot wieczoru, nad światem rozpięty,
Śród pożaru Warszawy czerniejących zgliszczy
Miliardami dalekich ogromnych słońc blyszczy,
Kolorowo mieniących się, pełnych ponęty.

Po moście kolejowym wąż pełźnie w oddali,
Wstęga czarnych, oknami świecących wagonów...
Nad pociągiem wiozącym tłum żydów, szlagonów,
Dymu krwawy pióropusz w ciemności się pali....

Jak smok z Apokalipsy, lśni lokomotywa...
Po czarnej szybie Wisły, szeroko rozlanej,
Płynie statek parowy... Już minął Bielany,
Żółwym krokiem do celu żeglugi przy pływa....

W ramach światel bulwaru ogromnych piszczeli
I samotnych, zbłąkanych światelek na Pradze
Nieprzejrzana dal ciemna czernieje, jak sadze,
W którą szatan się chyba wpatrywać ośmieli....

Wacław Wolski.



Cztery razy był szczęśliwy.



uż to niech sobie co chcą mówią,—rzekł pan Michał, zapalając lulkę,—życie ludzkie nie jest tak mgliste i ponure, jak pesymiści dzisiejsi utrzymują. Są w niem chwile jasne i słodkie, byle tylko z wdzięcznością o nich pamiętać!

— I pan miałeś takie chwile...?

— Nie chełpię się z tego bynajmniej; szczęścia wcale mi nieba nie poskąpiły. Byłem cztery razy w życiu bardzo szczęśliwy!

— Zaprawdę należysz pan do wyjątków!... Czy nie mógłbyś co o tem powiedzieć?

Pan Michał wypuścił dym nozdrzami, jak człowiek mocno zadowolony.

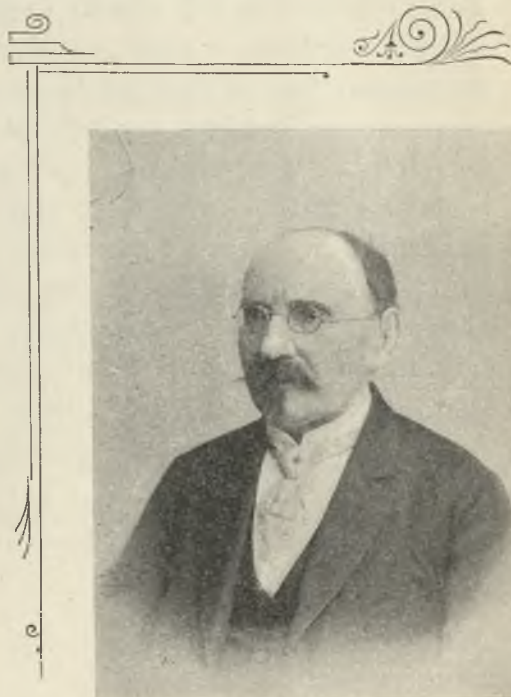
— I owszem — odpowiedział. — Nikt światła pod korzec chować nie powinien, a w dzisiejszych złych czasach, to i wspomnienia coś znaczą.

A przybiwszy paznogciem popiół w wygasającej lulce, prawił dalej:

— Opowiem panu wiernie, jak było, bo takie opowiadanie budzi w mej duszy rozkoszne wspomnienia!

Popiół w lulce wygaś, dymu nie było. Pan Michał zapalał jedną zapalkę po drugiej, — dymu nie było.

— Trzeba na nowo lulkę nałożyć.



— Masz pan słuszność. Z lulką to nie tak, jak z pamięcią.

Za kilka chwil błękitny dym snuł się po wąsach pana Michała.

— Bardzo wczesnie spotkało mnie szczęście, a koledzy moi mawiali, że byłem ulubieńcem bogów. Gdy profesor pytał z łaciny lub greki (w tych materyach nie byłem bardzo biegły), to zawsze zatrzymywał się przedemną, bo w sam czas godzina biła. Uchodziło mi także z matematyką, a co do geografii i historii... ale mniejsza o to.

Pan Michał pociągnął z lulki.

— Byłem wtenczas w piątej klasie gimnazjalnej. Pamiętam, jak dziś, było to w maju. Nie poszedłem do klasy, bo profesor miał z greki pytać, a trudno znowu było tentować miłosierdzie Pana Boga, że w samą porę godzina wybije... Nie poszedłem więc do klasy, a że trzeba było ten czas gdzieś przebyć, udałem się na plantacye. Jeszcze dziś czuję woń kasztanów i akacyj, które kwitnąć zaczynały. Sprawiały mi one dziwną przyjemność, jakiej dotąd nigdy nie zaznałem... Nie wiedziałem, że z nią łączyło się przeczucie blizkiego mego szczęścia...

.....Jakoż wkrótce nadbiegło szczęście. Z uliby Szewskiej wyszła wprost na mnie młoda dziewczyna, o rumianej, pyzatej twarzy. Pod lewą ręką niosła pęk książek, dwa seksterny i duży kałamarz, a w prawej — wiązki róż, przepysznie rozkwitłych...

.....Pyzaty, krępy podłotek tak dziwnie spojrział na mnie, jego okrągłe czarne oczy tak chciwie wpiły się we mnie... że nie umiem opisać rozkoszy, jaka wtedy zawładnęła całą moją istotą... Zgłupiałem, jak to mówią, kompletnie, i byłbym, jak bocian, stał do nocy na jednej nodze, gdyby w tej chwili z ręki nieznajomej dziewczynki nie była wypadła gałązka z różą..... Podłotek niby nie widział róży, ale podejrzewam go, że uczynił to rozmyślnie, a sam pomknął dalej. Rzuciłem się na gałązkę z różą, bo to przecież pierwszy zadatek mego szczęścia... i już miałem ją w ręce, gdy nagle szalonym pędem nadjechała dorożka. Uczułem silne uderzenie w plecy... nogi zgięły się podemną... w uszach zaszumiało i zagrzmiało, i nic więcej nie widziałem. Widziałem tylko wążką, jak tasiemka linię, po której pomykała szybko dziewczyna z książkami i wiązką róż... potem i ona znikła! Gdy mię podniesiono, byłem krwią oblany... a po lewej ręce przeszło koło. Ot, tu jeszcze jest blizna!

Pan Michał z niemałym zadowoleniem pokazał mi dwa palce zgniecione.

— I cóż dalej? — zapytałem ciekawie.

— Nic.

— Czy nie obejrzała się, jak pana dorożka przejechała? Nie zgłosiła się, gdy pan chory leżał?

— Wcale nie. Nie wiem, kto była i co się z nią stało. Wiem tylko, że byłem przez kilka chwil szczęśliwy, bardzo szczęśliwy!

Pan Michał przybił paznogciem popiół w lulce.

— Drugi raz... byłem już na uniwersytecie. Urządziliśmy właśnie bal na korzyść biednych kolegów. Sala była pełna, — uroczyste sylfidy snuły się, jak sennie widziadła, wśród lamp gazowych. Jedna z nich była królową. Miała złote włosy, złote bransolety, a jak koledzy wymyszkowali, wiele także złota w posagu. Jak émy w koło lampy, latali wkoło niej adoratorowie. Stałem spokojnie, utkwivszy w niej oczy. Pomyślałem sobie, jakieby to szczęście było dla mnie, gdyby ta dziewica... I raz puszczona w ruch maszyna zaczęła dalej funkcyonować. Zacząłem marzyć. W sercu roiło mi się coraz rozkoszniej... coraz krótszy oddech wymykał mi się z gorących piersi... oczy moje biegły za nią z niewysłowioną rozkoszą... Przebóg, jestem w zenicie szczęścia! Oto złotowłosa królowa, wybierając do figury mazura... idzie wprost do mnie... Usta na pół otwarte... rączka do góry wzniesiona, już czuję ciepło tej rączki... gorący oddech tych ust różowych... Tej chwili szczęścia mojego nigdy nie zapomnę!..

— I cóż się potem stało?

— Gdy jej rękę podawałem, uśmiechnęła się rozkosznie i rzekła anielskim głosem: „Przepraszam!“ i spojrzała po za mnie. Obróciłem się i ujrzałem za sobą porucznika od ułanów, któremu właśnie swoje białą rączkę podała.

— Smutna pomyłka.

— Pomyłka, prawda, ale kilka chwil szczęścia także nie chodzi piechotą.

Pan Michał zapalił zagasłą lulkę.

— Trzeci raz,—a byłem już wtedy praktykantem bezpłatnym przy prokuratoryi skarbu państwa. Mój szef miał pięć córek. A najstarsza z nich była w równym ze mną wieku. Odnosząc raz jakiś kawałek do domu szefowi, który był chory, poznałem ją. Rozmawiała ze mną, przyczem zawzięcie patrzyła mi w oczy. Tak mi się to podobało, że byłbym do nocy pozwolił jej tak patrzeć na siebie, gdyby szef nie był mi przez lokaja „kawałek“ odesłał. Od tego dnia często myślałem o tych oczach piwnych i wszędzie je przed sobą widziałem. Marzyłem przytem, że jak dostanę „a djut um,“ zacznę u szefa bywać, a po-

tem... Jeszcze nie wiedziałem, jak i kiedy to nastąpić może, gdy szef pewnego poranku do mego stolika się zbliżył.

— „Już to pan,—rzekł z uśmiechem,—masz szczęście do panien. Moja Zosia od kilku dni nie daje mi spokoju. Chce się z panem widzieć dzisiaj jeszcze. Wpadnij pan do mnie po obiedzie“... W uszach mi zaszumiało, przed oczyma zaczęło wszystko tańcować. Pogryzłem do południa wszystkie pióra, które leżały na moim stoliku, ani litery nie mogłem napisać. Wreszcie o czwartej po południu zapukałem do drzwi szefa. W salonie była sama panna Zofia. Miała negliz przezroczy, na białą szyję spadała kaskada ciemnych włosów. Podała mi rączkę i siadła bardzo blisko przy mnie. „Mam do pana zaufanie, — rzekła, — czy pan odpowiesz temu zaufaniu?“ Ścisnąłem silnie podaną rączkę. „Czy znasz pan dyrektora urzędów pomocniczych? Chcę go czemś zaintrygować, w czym udzielisz mi pan pomocy. Pójdiesz pan ze mną na maskaradę...“

...Trudno było o większe dla mnie szczęście. Włożyliśmy kostiumy. Panna Zofia z panną służącą miały mieć kostium jednaki, ja zaś miałem być Hiszpanem. Nigdy nie zapomnę tych chwil błogich. Zastawiłem futro i zegarek, aby godnie Hiszpana zaprezentować. A co namarzyłem się prze cały ten czas! Odbywały się między nami konferencye, a przy tych konferencyach ileż to spojrzeń, ileż to padło półsłówek!... Słowem, byłem przez tydzień bardzo szczęśliwy!

— No, to już postęp, a cóż się dalej stało?

— Byłem z nią na maskaradzie, dyrektora urzędów pomocniczych nadręczyliśmy co niemiara... ściskano nas, jak w prasie...

— A potem?

— Potem... w ostatki zapust wyszła panna Zofia za dyrektora.

Pan Michał przydusił palcem resztki popiołu.

— Czwarty raz byłem już zastępcą adjunkta powiatowego. Matka moja chciała, bym się ożenił. W tym celu dała mi kilkaset guldenów, abym gdzie do wód wyjechał, gdzie dużo panien przebywa. Za tydzień byłem już w uroczej Szczawnicy, gdzie tysiąc panien przechadzało się po deptaku, nieprzymierzając, jak konie w tatarsalu. Razu jednego, wyszedłszy z mojej izdebki, ujrzałem przed sobą nadziemskie zjawisko. Była cała niebieska. Miała suknię niebieską, niebieską parasolkę, niebieską woalkę, buciki i oczy niebieskie!... Straciłem mowę, stanąłem, jak wryty. Ona uśmiechnęła się i powiodła po mnie niebieskimi oczyma. Obmotła mnie jakąś siecią niewidzialną, tak, że bez jej widoku ani chwili żyć nie mogłem!

Marzyłem o niej dzień i noc. Rano wychodziłem na deptak i siadywałem na ławce, koło której ona przechodziła. Wpatrywałem się w nią godzinami, a zawsze z rozkoszą nienasyconą!...

— Czy zbliżyłeś się pan do niej?

— Odkładałem z dnia na dzień. Pewnego dnia nie ujrzałem jej na deptaku. Dowiedziałem się, że zachorowała!

Pan Michał rozgniół palcem lulkę, z której wysypał się popiół.

— Czy długo chorowała?

— Niedługo. Piątego dnia odbył się jej pogrzeb.

Nastąpiła długa pauza.

— I tak się skończyło czwarte moje szczęście, — rzekł pan Michał, nakładając nową fajkę.

— A potem nie tentowałeś pan nowego szczęścia?

Ojciec odebrał mnie z urzędu, wziął na wieś i ożenił z córką swego sąsiada.

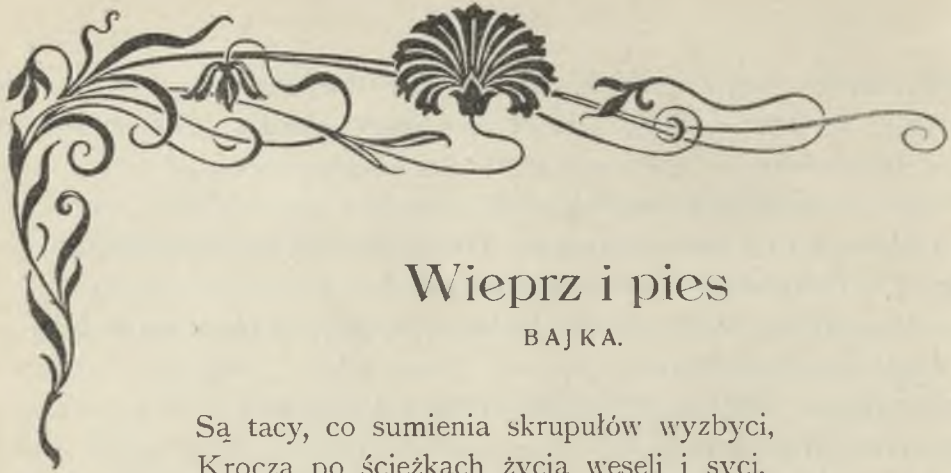
W tej chwili wpadło do pokoju dwóch pyzaty chłopców, zając chleb z powidłami.

— Tatku, tatku! — wołali na wyścigi, — mama już nakrajała słoniny z papryką, kiełbasy i sera, a Wojtek przyniósł wódkę i dwa kieliszki. Mama prosi na śniadanie.

— Tylko nie mów pan nic żonie o tem, com panu opowiadał, szepnął pan Michał w drodze do słoniny z papryką, — bo moja żona... bardzo zazdrosna!

Jan Zacharyasiewicz.





Wieprz i pies

BAJKA.

Są tacy, co sumienia skrupułów wyzbyci,
Kroczą po ścieżkach życia weseli i syci,
Zaś inni w walce ducha dręczą się i biedzą.
Wieprz jeden, od koryta odlaźszy najedzon,
Włóczył się, pochrząkując błogo, wśród podwórka,
I zoczył Burka,
Który właśnie poziewał, o ziemię oparłszy się zadem.
Wieprz się przysuwa, bo wzięła go chętka
Pogwarzyć z sąsiadem
(Dla konkokcyi żołądka niema, jak gawędka).
— Dzień dobry, sąsiedzie!
Jakże się wiedzie?
Widzę, że czegoś wyglądasz mi smętnie...
— A cóż — spytany odziewnął niechętnie —
Człek nie dośpi, nie doje, —
Ciągłe ujadanie — wieczne niepokoje...
Ot, wiadomo — służba pieska:
Schudłem, jak deska...
Przytem mam zmartwienie,
Bo niezasłużenie
Mnie obito...
— Za cóż to? — wieprz zapyta, współczując nibyto.
— Za co?... Nasz pan, jak wiesz może
Ma zajadłość skrytą
Na Maćkowe kury,
Który
Kiedyś mu tam je ponapuszczał w zboże...
Wczoraj przed wieczorem z łańcucha mnie spuszcza—
I koło chaty Maćka idziem naumyślnie,
Gdzie w śmieciach najspokojniej grzebie kurza tłuszcza...

A pan jak nie świśnie,
Jak nie huknie: a bierz go! a łapaj! a huzia!..
Ledwie mu się od wrzasku nie rozdarła buzia..
Przyznam ci się, mój wieprze,
Że dotąd o mym panu miałem zdanie lepsze.
Że tam pierzasta hołota
Przez głupotę
Albo psotę
Grypsnęła mu z pola jedno, drugie ziarnko,
Toż nie kryminał!.. Za czyn ten pozabawiać żywota—
Jest to zbyt nierówną wypłacać się miarką..
Odmówiłem stanowczo,—pan mi sprawił lanie,
Skopał i sponiewierał!.. Otóż masz,—kochanie.

Wieprz słuchał. nie przerywał, nareszcie odeprze,
Cochając się o budę (jak to czynią wieprze,
Gdy im błota skorupa zbyt gruba narasta):

— Boś głupi! Nie mędrkuj, pana słuchaj, czyń, co chce i basta!
— A zasady sumienia? — powie bryś gorąco.
— Zasady!.. to paradne!.. — śmiesznyś pan dobrodziej!
Czy mój pan zły, czy dobry, szlachetny, czy złodziej —
Cóż mnie to obchodzi?..

Ot spójrz na mnie: Zaważę pewnie z trzysta funtów, —
A dlaczego?... bo drwię sobie z tych zasad, z tych sumienia
buntów.

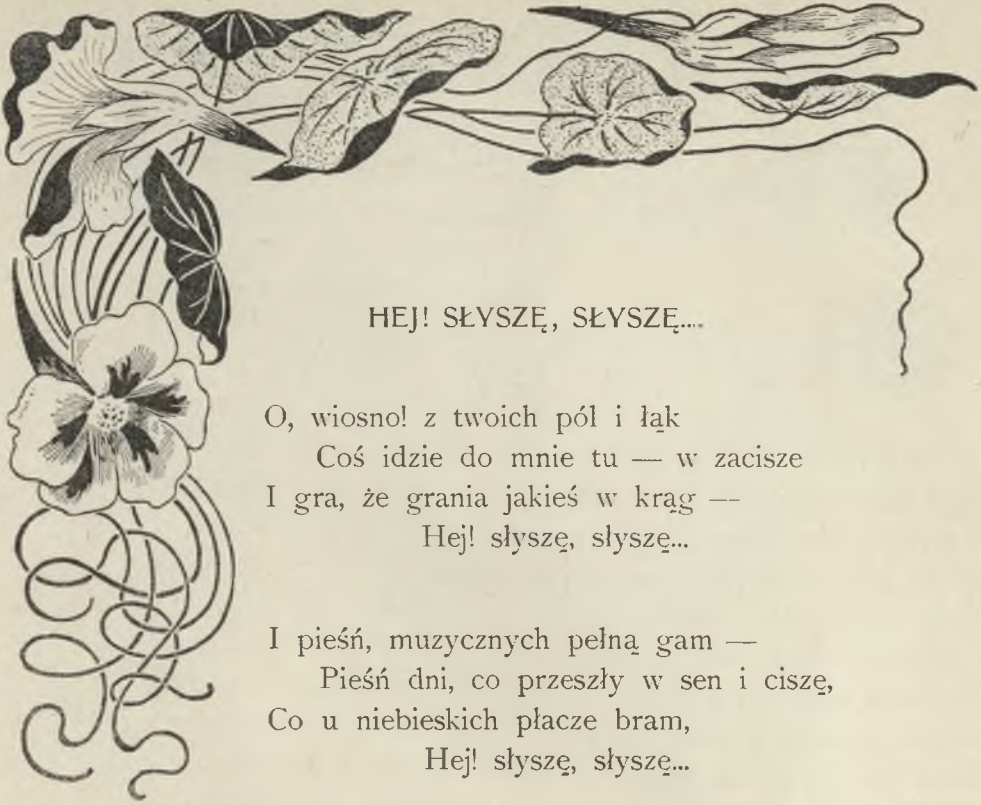
Moja zasada jedyna —
Życie mieć przednie:
Mieć poddostatkim pomyj i tłustych fecesów,
Bo grunt słonina,
A reszta — brednie, —
I radzę ci szczerze..

Tu Burek rozszrożony zadzwonił łańcuchem.

— A idź do stu biesów,
Ty plugawe zwierzę,
Ty, ryjcu kłapouchy!.. Patrzcie kielbaśnika!..—
I łaps go za ucho.
Wieprz, widząc, że krucho,
Pokwikując boleśnie, z wystrzępionem uchem
Duchem
Pomyka do chlewika.

Jan Lemański.





HEJ! SŁYSZĘ, SŁYSZĘ...

O, wiosno! z twoich pól i łąk
Coś idzie do mnie tu — w zacisze
I gra, że grania jakieś w krąg —
Hej! słyszę, słyszę...

I pieśń, muzycznych pełną gam —
Pieśń dni, co przeszły w sen i ciszę,
Co u niebieskich płacze bram,
Hej! słyszę, słyszę...

I najsmutniejszą z ziemskich nut,
Co cichy do snu ból kołysze—
Płacz dzwonu u cmentarnych wrót —
Hej! słyszę, słyszę...

I nawet tych zacisznych stron,
Gdy w mogił się otulę ciszę —
Tych grobów płacz, jak dzwonów ton —
Hej! słyszę, słyszę...

Władysław Zalewski.



POETA

Nie starogreckie muzy
Świata, co upadł w gruzy,
I nigdy już rówieśnie
Z dziejowych form łańcucha
Na żywy wzór nie wskrześnie,
Trzymały do chrztu mego ducha—
Tam, gdzie Bóg dumy własnej słucha,—
Lecz jasny, pełny chwały
Chrześcijańskiej, anioł biały
Górnemi niósł go szlaki,
Mijając gwiazd orszaki,
Przez ów gościniec długi
Wieczystej światła smugi,
Gdzie cisza wielka, błoga,
Wiekami rozmodlona,
Wyciąga swe ramiona
Do źródła słońc — do Boga.



I wlewał z drogi mlecznej
Ów przestwór w niego wieczny,
I piór swych wszczepiał białość,
I wszystką doskonałość,—
I wzór wszelakiej rzeczy
Powierzał kornej pieczy:
Przed Bogiem uniżoność,
Bojową niestrudżoność —
I tęskność dziwną lotu,
Dążenia bez powrotu
W dal wieczną — w nieskończoność.

Więc nie złotego-m środka
Poeta, — gdzie treść słodka
Z nasytem swym się brata,

Plon z tego biorąc świata, —
I w gnuśnej równowadze
Utwierdza życia władzę —
Bez wzlotów w stronę ducha,
Co znojąc wciąż się sili, —
W ujęciu słodkiej chwili,
Pod którą nicomość głucha, —
Bez tego Objawienia,
Co życie wypłomienia,
Odnosząc tchnień zasoby
Za chwilę i za groby,
W jaśnienie owej doby,
Gdzie w pełni Odkupienia
I w pełni już ozdoby
Kształt z wzorem swym się spotka:
Nie! nie złotego-m środka
Poeta, lecz znojonych
Przez natchnień błyskawiczność,
Przez ową niebotyczność,
Porywów nieskończonych
W świetlaność ideału
Podniebiańskiego dzieła,
W niedoścignioność wzoru
Tęsknego wciąż przestworu, —
 W dal — w bezgraniczność!

Bo po to-m jest, bym nieba
W jaśnieniu i pokorze,
Jak powszedniego chleba,
Kęs w życia szlaki wdrożył, —
Bym rzeczy *tam* odczute
Na ziemską przelał nutę —
I światła tem przysporzył
Na to królestwo Boże,
Przez Chrystusową ranę
Na świat zapowiedziane.
Bo po to-m jest, bym *tworzył*,
Anielski spadkobierca,

I tchnieniem mem dostatniem,
Przykładem — wiarą — cnotą,
Nadziei przedzą złotą,
Zwaśnione tak rozlicznie
Mych braci błędne serca
W uczuciu łączył bratniem
Ewagelicznie.



A choć w ułomnem ciele
I z prochu, który plami,
Zasługą się nie dzieję
Z Bożymi aniołami,
Tak ciężką niosąc zbroję, —
Toż idę wciąż — a padam,
Lecz nad upadkiem biadam,
Anielskiej pełen trwogi,
Lecz wstaje, znów się znoję,
Znów kes przechodzę drogi,
Wciąż lepszy, bardziej błogi,
Wyroczonej pomny zorzy,
Pracownik pilny Boży.

I tak już pono będzie
Z anielska najmozolniej
Do końca dni żywota,—
Aż Pan mnie mój odmota

I krusząc to orędzie,
Jak ptaka swego zwolni,
By w oną leciał zorzę...

Tak niech mi dopomoże
Bóg, Jego Święta Męka,
Opatrzna Ducha ręka,
Co skrzydła mi rozwija,
I ta, przed którą klęka
Pieśń ma w hartownej zbroi,
Patronka lutni mojej,
Maryja!

Józef Jankowski.

TREŚĆ

	<i>Str.</i>
Baliński Ignacy — Z nocnych gwarów. Fragment	5
Chmurkowski Sylweryusz — Zegar.	8
Czempiński Jan — Pamiątka. Obrazek w jednej odsłonie	11
Daniłowski Gustaw — Modlitwa.	26
„ „ Statek.	27
Felicjan — Ze zbioru «Meandrów»	29
Galle Henryk — Adam Mickiewicz. Urywek	31
Gliński Kazimierz — Do ciebie	35
„ „ Serenada	36
Gębarski Stefan — U podstaw	39
Gliński Mieczysław — W górach	41
Hoesick Ferdynand — Aforyzm	43
Jankowski Józef — Poeta	144
Karoli Władysław — Durinkowa jodła	45
„ „ Z cyklu N. — Pod Samo-Sierra.	47
Komornicka Marya — Z psalmów: Pan kona.	50
Konopnicka Marya — Z Hiobowych pieśni	53
Kozłowski Stanisław — Głos z Wichru (z ksiąg Hioba).	54
Kramszyk Stanisław — Aforyzm	55
Lange Antoni — Do matki. Z Edgara Allana Poe	57
Lemański Jan — Noc majowa	59
„ „ Wieprz i pies. Bajka	140
Łagowski Floryan — Vox in deserto.	60
Łaszczyński Witold (Alf) — Jasełka. Fragment.	63
Łopuszańska Marya — Żelazny krzyżek.	68
Meyet Leopold — Aforyzm	69
Mierz Edma — Bajka	71
„ „ Sen	72
„ „ Cień	73
„ „ Kłos.	73
Nawrocki Władysław — Z cyklu «Upojenia»	75

VI

Neumanowa Anna — Z cyklu sonetów. Pragnę	78
„ „ Błędna gwiazda	79
Niemojewski Andrzej — Galerya obrazów. Kwiat rozkoszy	80
„ „ Bajka małżeńska	81
„ „ Wilegiatura.	82
Nitowski J. — Wierz!	83
Nowiński Józefat — Las	84
„ „ Za gwiazdy i dalej.	85
„ „ Do żeglarza	86
Oppman Artur (Or-ot) — Serce.	87
Ostrowski Stanisław — Powrócił	89
Ostroróg Józef — Z zadumań.	101
Pilecki Antoni — Z dumań chmurnych	102
Pomian Waclaw — Od serca.	103
Pytliński H. Stan. — Przerwany śpiew	104
Raczyński Waclaw — Przechadzka	106
Selim — Na przełomie	112
Skibińska — Pamiętam	113
Słoński Edward — W słońcu.	114
„ „ Za biesiadnym stołem	117
Tatarkiewicz Maryan — Piosenka	120
Urbanowicz Stanisław — Z pogadanek astronomicznych.	122
Wertor — Śmierć starca	134
„ Samobójca.	126
Wolska Maryla — Nad jeziorem	128
Wolski Waclaw — Z cyklu «Gród Syreni» Wieczór	130
Zacharyasiewicz Jan — Cztery razy był szczęśliwy.	135
Zalewski Władysław — Hej! słyszę... słyszę	143

ILLUSTRACYE

	<i>Str.</i>
Alchimowicza	70
„ „	98
Badowskiego	22
Betley'a	128
Biskego	25
Borkowskiego	125
Ceglińskiego	46
Dąbrowskiego	17
Jaroszyńskiego	58
Kipmana	77
Masłowskiego	74
Okunia	31
Oknińskiego	121
Olszewskiego	61
Pawliszaka	40
Piątkowskiego	49
Purzyckiego	114
Sowińskiego	92
Tańskiego	88
Tracewskiego	84
Wejcherta	64
Wiesiołowskiego	56
Wiesiołowskiej	41
„	44

*Na str. 31 pod portretem Adama Mickiewicza opuszczono: — rys. Okunia.
Na str. 100 pod obrazkiem „Powrócił” opuszczono nazwisko autora—
Stanisław Ostrowski. 400*

**INSTYTUT
BADAŃ LITERATYKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



akc 164/50 k

UKOŃCZONO DRUK
dnia 20 czerwca 1900 roku
czcionkami Drukarni Laskauera i Babickiego
S-to Krzyżka 11 w Warszawie.

III

476